

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzystojne, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

NR 35 (1719) 1-7 września 2023
CEVA 6,66 zł w tym 8% VAT



**Czarnek grzebie
dzieciom w fałdach**
str. 3

**Czego nie wie
ojciec Rydzyk**
str. 12

WAKACYJNE POWROTY



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125



@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

Szkolny żywiec.

Wakacje przemieły jak upojenie alkoholowe po chrzczonym piwie – szybko i niezauważalnie.

Z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego Ministerstwo Edukacji i Nauki wspólnie z Ministerstwem Sportu przygotowało dla dzieci i rodziców niespodziankę: na wzór targu niewolników resort będzie ważył, mierzył i testował gibkość szkolnego żywca, skrupulatnie notując wyniki. Oczywiście wszystko dla dobra milusińskich.

Ministerstwo robi ci dobrze

Sejm cichaczem wprowadził pewną zmianę w prawie oświatowym, a geometria tego projektu wydaje się mocno nieoczywista. Nowe przepisy przemycano w ramach poselskiego projektu usta-

Czarniek grzebie dzieciom w fałdach

wy o zdrowiu publicznym, dotyczącego wprowadzenia całkowitego zakazu sprzedaży napojów z dodatkiem kofeiny i tauryny osobom niepełnoletnim. W ich ramach od 1 września szkoły podstawowe oraz średnie będą zobowiązane do gromadzenia danych uczniów w ramach ewidencji programu „Sportowe talenty”.

Program został uruchomiony we wrześniu 2022 r., aby umożliwić bachorni sprawdzenie swoich umiejętności, a klubom sportowym ułatwić wyłapywanie uzdolnionych jednostek. Oprócz odsiania spośród miernot następców Roberta Lewandowskiego czy Igi Świątek programowi przyswiecała szlachetna idea „identyfikacji problemów z aktywnością fizyczną dzieci i młodzieży”. Na stronie internetowej „Sportowych talentów” film promocyjny przekonuje, że w każdym purchlaku drzemie olimpijczyk. Ta, jasne...

W pilotażu programu wzięły udział szkoły z dwóch województw: lubelskiego i opolskiego. Co istotne, udział w zabawie, który opierał się na dobrowolności, od września zostanie narzucony wszystkim jak siodło chabcie, nawet szkołom artystycznym, bo a nuż ktoś jebnie w kąt pędzle i zacznie skakać przez płotki.

Mięsność masy żywej

Ewidencja programu ma obejmować podstawowe dane: imię i nazwisko ucznia, jego PESEL, rok urodzenia oraz płeć. W tabelkach znajdują się również wyniki uzyskane przez ucznia w testach sprawnościowych, a także jego waga i wzrost. Obowiązek informowania szkoły o tych ostatnich spocznie na rodzicach, a pełnoletni uczniowie będą mogli donosić o sobie sami. Wszystko to trafi do centralnej ewidencji pod egidą „Sportowych talentów”, czyli tak naprawdę chuj wie gdzie, ale o tym za chwilę.

Naprawdę nie wiem, jak bardzo trzeba mieć wyprasowane zwoje mózgowie, żeby zmuszać nastolatków – w i tak uroczym

jak biegunka okresie dojrzewania – do obwieszczania instytucji oświatowej o niedoborze, nadmiarze czy ograniczeniach swojego ciała.

I to z niezbyt klarownych pobudek. Co innego wybebeszać się z własnych parametrów w zaciszu lekarskiego gabinetu, a co innego robić to przed instytucją, z którą większość młodych ludzi wolałaby nie mieć kompletnie nic wspólnego.

Według raportu „Spotlight on Adolescent Health and well-being” międzynarodowej sieci badawczej HBSC (Health Behaviour in School-age Children) z 2020 r., który powstał we współpracy ze Światową Organizacją Zdrowia, polskie nastolatki zajęły ostatnie miejsce w rankingu 43 krajów – miały najwyższy wskaźnik negatywnego postrzegania własnego ciała.

Z badania wynika, że 15 proc. nastolatków uważa, że wygląda gorzej niż większość ich kolegów, 21 proc. deklaruje, że chciałaby wyglądać „bardziej normalnie”, a 11 proc. chętnie skorzystałoby z operacji plastycznej. Zmuszanie młodego człowieka, który postrzega siebie jako groteskową wariację dziecka w kapuscie, do obwieszczania instytucji oświatowej, czy nadaje się na „handel”, z pewnością nie pomoże w budowaniu własnej wartości.

Na samą myśl, że państwo będzie grzebać paluchami w fałdach, jeździć nimi po wystających żebrach, sprawdzać odległość głowy od stóp wszystkich bez wyjątku – zainteresowanych sportową karierą czy nie – żeby utuczyć bazę danych dla prywatnych klubów, jeży się włos na dupie. Mamy już rejestr cięż. Nowy legislacyjny babol sprawił, że zaleciało Hitlerjugend.

Ministerstwu nie podskoczysz

Testy sprawnościowe, którym mają zostać poddani uczniowie, obejmują skok w dal, bieg wadłowy, podpór przodem (tzw. deskę) oraz bieg 10 × 5 m. Ten rodzaj weryfikacji obejmie co roku wszystkie dzieci: od uczniów IV klasy szkoły podstawowej do ostatnich klas szkoły średniej. Prze-

prowadzą ją nauczyciele, którzy wyniki wpiszą – a jakże – do bazy danych. O ile takie dane mogą w jakiś sposób określić predyspozycje dziecka, o tyle raczej gównie mówią o jego codziennej aktywności fizycznej. Dla przykładu (choć dla dziecka już dawno nie jestem): codziennie robię 15 km przez las z kijkami do nordic walking, przy próbie zrobienia deski bym popuściła, a skok w dal byłby dla mnie przepustką na oddział ortopedii albo i na cmentarz. Czy wobec tego jestem mało aktywna fizycznie?

Autorzy pomysłu przytaczają badania, z których wynika (szok i niedowierzanie!), że rodacy za mało się ruszają. Czy regularne testowanie dzieciaków mniej sprawnych fizycznie zachęci je do większej aktywności? Smiem wątpić. Mało kto lubi być zmuszany do czegoś, w czym jest kiepski. Szkolne zajęcia wychowania fizycznego i bez tego nie cieszą się zbyt dużą popularnością, a program „Sportowych talentów” w żaden sposób nie definiuje źródeł tej niechęci ani nie mówi, jak ten stan rzeczy zmienić.

Nawiasem mówiąc, wypada się też zastanowić, czy resort edukacji nie ma nauczycieli za durniów. Jeżeli dzieciak ma potencjał, to nauczyciel WF-u jest w stanie taki talent wyłapać. I to bez potrzeby budowania za ciężkie pieniądze z publicznej kasy bazy, z której dane trafią nie wiadomo gdzie.

Powiedz mi, kim jesteś, a zrobię z tym, co chcę

Zabawne, że w czasach RODO dane gromadzone przez organ publiczny mają trafić do prywatnych klubów sportowych. Na stronie organizatora czytamy, że kluby te nie będą miały bezpośredniego dostępu do zgromadzonych informacji. Nie zmienia to faktu, że informacje wrażliwe zbierane są głównie w interesie środowiska sportu zawodowego, a nie zdrowia publicznego. Pod płaszczykiem rzekomej troski o zdrowie dzieci i młodzieży.

Przy okazji ścieżka legislacyjna projektu szerokim łukiem ominęła środowiska związane z ochroną praw człowieka i obywatela, dzięki czemu państwo będzie mogło przebiegać w prywatności obywateli i obywateli jak w kaszankach na straganie.

Warto również zauważyć, że główny interesant, czyli Ministerstwo Sportu i Turystyki, był w tym procesie niemalże niewidoczny. Załatwienie sprawy od dupy strony tylko podkreśla podejrzenie, że intencje projektodawców nie są do końca czyste.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Maciej Żubrowski poszukiwany jest na podstawie listu gończego wydanego przez Sąd Rejonowy dla Krakowa Śródmieścia. Sąd chce widzieć Żubrowskiego w więzieniu, ponieważ przeklinał w miejscu publicznym i nie uiszczał mandatu za przeklinanie. Poszukiwania prowadzi komenda policji w Krakowie przy ul. Mogiłskiej 109. Niestety nie możemy pomóc, ponieważ nie wiemy, gdzie, do kurwy usług, podziwiał się pan Maciej, a gdybyśmy wiedzieli, to też byśmy nie robili za konfidentów.

■ W pierwszym półroczu 2023 r. PKN Orlen wykazał ponad 13,6 mld zł zysku. To dwukrotnie więcej niż rok temu o tej samej porze. Nie jest to wynikiem zwiększenia sprzedaży paliw, ta spadła na benzynach o 3 proc., a w oleju napędowym o 8 proc., co oczywiście świadczy o spowolnieniu gospodarki. Orlen nie wprowadził też nowych usług. Zysk został wygenerowany przez naciśnięcie przycisku w komputerze podwyższającego cenę paliw w globalnym systemie rozliczeniowym Orlenu. Daniel Obajtek nie powinien się tym chwalić.

■ Straż graniczna pozbawiła rodzimych narkomanów 439 kg boliwijskiej kokainy o wartości 186 mln zł. Substancja psychoaktywna przyplęta do portu w Gdyni w ładunku egzotycznego drewna z Chile. Dyrektor Zarządu Operacyjno-Śledczego Komendy Głównej SG płk Arkadiusz Olejnik powiedział, że prawie stu procentowo czysta kokaina bez obcych domieszek jest wyjątkowo wysokiej jakości. Szkoda zatem, aby wszystko się spaliło. Tak nam się zdaje.

■ 7 tys. butelek piwa Złoty Trunek spadło z ciężarówkami. Roztrzaskano się o jezdnię w rejonie ul. Browarnej w Poznaniu. Ładunek był nieodpowiednio zabezpieczony. Kierowca otrzymał 4 tys. zł mandatu za spowodowanie zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu oraz 500 zł za wjazd w uliczkę, którą nie mogą jeździć samochody ciężarowe. Dostał też 12 punktów karnych. W naszym mniemaniu policja i tak była bardzo wyrozumiała.

■ Mieszkaniec gminy Rudna na Dolnym Śląsku nie mógł uwierzyć we własne szczęście, kiedy policja zwróciła mu skradziony cztery lata temu ciągnik w dużo lepszym stanie niż wtedy, kiedy go stracił. Historia ma logiczne wytłumaczenie. Złodziej, który traktor ukradł, wyremontował go, aby był nierozpoznawalny dla prawowitego właściciela. Maszyna w tak dobrym stanie zainteresowała jednak innego złodzieja, który ukradł ją temu pierwszemu złodziejowi. Pierwszy złodziej zgłosił kradzież na policję. Ta operacyjnie ustaliła, że jest on złodziejem traktora, który mu skradziono. Życie bywa sprawiedliwe.

■ Wiceprezydent Radomia Mateusz Tyczyński domagał się wyjaśnień od wojska w związku z dwiema potężnymi eksplozjami, jakie słyszano nad miastem i w promieniu 70 km. Kapitan Ewa Złotnicka z Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych wyjaśniła Tyczyńskiemu, że był to rutynowy planowy lot myśliwców F-16, które nad miastem przekroczyły barierę dźwięku, co wiąże się z tak zwanym gromem dźwiękowym. Nie było się zatem w ogóle czego bać.

■ Grupa InPost we współpracy z Lotniskiem Chopina w Warszawie uruchomiła paczkomat na rzeczy, których nie można zabrać na pokład samolotu. Karabiny maszynowe, bomby oraz

narkotyki, których straż graniczna i lotniskowa nie pozwala wnosić turystom na pokłady samolotów, można teraz nadać, aby dojechały tam, dokąd my docielimy, w legalny sposób. Godna pochwały inicjatywa. Ogromny krok ludzkości w paczkonadownictwie.

■ Oczywiście nie warto jechać w okolice Zakopanego. Straż Tatrzńskiego Parku Narodowego ukarała dwóch turystów tysiącłotowym mandatem za spanie w śpiworach w okolicach Morskiego Oka. Władze TPN przypominają, że od 1 kwietnia do 30 listopada obowiązuje zakaz przebywania na terenie parku od zmierzchu do świtu. Potem i przedtem już wolno.

■ W tym roku ubył komarów. Podobno winna jest susza. Natomiast przybywa modliszek. To prawda. Sam widziałem jedno takie bydle na stacji paliw Shella w Regulach pod Warszawą przy ul. Wiejskiej. Pierwszy raz w życiu na własne oczy.

■ Ulańska fantazja kombajnisty doprowadziła do zderzenia maszyny żniwnej ze słupem energetycznym



w Proszowicach. Słup niebezpiecznie się pochylił. Nikt nie ucierpiał, ale pilotom helikopterów poprawiło się samopoczucie.

■ Naukowcy z Wrocławia cofnęli proces starzenia. Na razie u myszy. Jak nam się udało zorientować, opracowano inhibitor, który spowalnia rozkład glikogenu, cukru niezbędnego do prawidłowej pracy neuronów w mózgu. Prof. Dariusz Rakus twierdzi, że wyniki jego eksperymentów są obiecujące. Stare myszy, czyli takie w wieku dwóch lat, po kilkumiesięcznej terapii zdziwciniły. Znowu były ciekawe świata, jakby wcześniej go w ogóle nie doświadczyły. O eksperymentowaniu na ludziach ani na większych ssakach nie wspomniano.

■ Prezydent Andrzej Duda zakazał od 1 września sprzedaży red bulla (i innych energetyków) ludziom poniżej 18. roku życia. Zapewne dlatego, że szkodzą. Od wprowadzenia red bulla na polski rynek minęło 28 lat. Tyle mniej więcej trwa korygowanie społecznych patologii przez polskiego ustawodawcę.

■ Mleczarnie obniżają ceny mleka. W skupie. W styczniu płaćli 245,53 zł za 100 l, dzisiaj – 188,67 zł. Krowy i ich hodowcy są niezadowoleni. Konsumentom jest wszystko jedno. W sklepach litr kosztuje między 4 a 5,5 zł. „Pij mleko, będziesz chory” napisała w tytule książki Alissa Hamilton, będąca wielkim wrogiem krów. Chodziło jej zasadniczo o to, że te bestie powodują więcej szkód dla środowiska naturalnego swoimi wypierdami, niż odnosimy korzyści z ich dojenia. Bardzo ciekawa hipoteza, choć nieprawdziwa.

■ Policja znowu zabiła kogoś we Wrocławiu. Ale było to uzasadnione.

RJ

PS Wszystkie informacje może są prawdziwe, a może nie, kótó to wie? Pochodzą z prasy lokalnej, do której wolno mieć jedynie wyrachowane zaufanie. Odpowiedzialności nie bierzemy.

Smok z trzema głowami

Lepiej liczyć glizdy w polu niż głosować w duopolu.

Jeśli przeczytacie w internecie wpis: „Zawsze głosowałem na lewicę, ale teraz zagłosuję na KO, bo tylko tak odsunę PiS od władzy”, to szybko uszczypnijcie się w lewe ucho.

Prawe ucho zarezerwujcie sobie na kolejne szczyty, kiedy przeczytacie w tymże internecie wpisy przekonujące Was, że głosowanie na Trzecią Drogę Kosiniaka-Kamysza i Hołowni to głos zmarowany. Bo tylko głos oddany na KO odsunie PiS od władzy.

A jeśli pogrzebiecie w internecie, to ze zdumieniem zobaczycie, że ci sami zatroskani internauci, którzy konsekwentnie niedawno obrzydzali Wam głosowanie na Trzecią Drogę, bo stamtąd może kandydować Michał Kołodziejczak, lider Agrounii, polityk antyliberalny i kościółkowy, teraz wychwalają Donalda Tuska za to, że przyjął Kołodziejczaka na listę wyborczą KO.

Wielopole czy duopol

Oszukiwanie polskich wyborców zaczęło się od sondażu, zwanego obywatelskim, który przedstawił w zeszłym roku dr Andrzej Machowski. Przekonywał, że tylko jedna lista opozycji „demokratycznej i proeuropejskiej” odsuwa PiS od władzy.

Sprzysięgające KO media głównego nurtu podchwyciły ten postulat i zaczęły silnie go lansować. Od tamtej pory każdy, kto wątpił w to „badanie”, bywał okrzyknięty stronnikiem PiS. I wrogiem obywatelskości.

Pierwsze poważne wątpliwości co do takiej taktyki wyborczej pojawiły się po wyborach na Węgrzech w zeszłym roku. Tamtejsza jedna lista opozycyjna przegrała z listą autokraty Orbána. Potem przywołany do wyjaśnień dr Machowski zdradził, że jego sondaż został zrobiony na polecenie KO i nie był w pełni obywatelski. Nie przebadano wtedy też solidnie innych wariantów, zwłaszcza wariantu trzech opozycyjnych list. W efekcie piewcy jednej opozycyjnej listy zaczęli cichaczem wycofywać się z jej popierania. Dziś nawet rozsądni publicyści „Gazety Wyborczej” nawołują do głosowania na listy Lewicy i Trzeciej Drogi.

Bo usłyszeli wreszcie głosy rzetelnych ekspertów: profesora Władysława Markowskiego i przede wszystkim profesora Jarosława Flisa. Rzetelne i poważne badania przeprowadzone przez profesora Flisa jednoznacznie wskazują, że opozycja antypisowska ma sens, kiedy będzie „smokiem z trzema głowami”. Liberalną głowę KO, lewicową Lewicy i liberalno-konserwatywną Trzeciej Drogi.

Profesor Flis przypomina, że PiS doszedł do władzy w 2015 r. tylko dlatego, że ówczesna lista

SLD – Ruch Palikota nie przekroczyła wymaganego progu wyborczego.

W tegorocznych wyborach najlepszym wariantem dla PiS jest sytuacja, kiedy to Trzecia Droga nie przekracza ośmioprocentowego progu wyborczego, a Lewica ma słaby wynik.

Wtedy PiS nie ma co prawda większości do stworzenia rządu, ale brakuje mu tylko kilku parlamentarzystów. I wtedy rozpocznie polowanie na „Kałużów”, czyli sprzedajnych parlamentarzystów z Konfederacji lub KO. Każdy z nich dostaje posadę wiceministra, a ich rodziny posady w spółkach skarbu państwa.

Profesor Flis przedstawił przekonujący „wzór Flisa”, z którego jasno wynika, że kiedy KO, Lewica i Trzecia Droga idą osobno, to opozycja ma najlepszy wynik. Taka jest logika systemu D'Hondta, który nagradza jednocześnie. Nie tylko dużych. Im mniejsze są partie, które łączą swe siły, tym większy mają potem zysk. Odbywa się to częściowo kosztem tej największej partii opozycyjnej, ale większość pozyskanych głosów odbierana jest partii rządzącej. Poza tym

wtedy opozycja ma największe szanse mobilizacji swych wyborców, a opozycja oparta tylko na jednej dominującej liście będzie potem opozycją politycznie kulawą.

POPis bis

Najgłośniejszymi zwolennikami jednej opozycyjnej listy wyborczej są kluby „Gazety Polskiej”, TVP Info i związane z KO grupy hejterów skupione na platformie X (dawny Twitter) pod hashtagem #SilniRazem.

Oni ustawiają tegoroczną kampanię wyborczą jako starcie Tusk–Kaczyński. Walkę KO kontra PiS.

Marcin Duma, badacz opinii publicznej i szef sondażowni IBRiS, wyjaśnia, że jest to celowa taktyka mobilizowania przez obie największe siły polityczne swych wyborczych ultrasów. Kiboli politycznych, używając terminologii piłkarskiej.

PiS mobilizuje swych ultrasów, by przekonać, że jest jedyną prawdziwą siłą polityczną na prawicy. By odebrać głosy opozycyjnej Konfederacji. By ją zmarginalizować. Aby ewentualna przyszła koalicja rządząca była na warunkach PiS. A jeśli PiS zasiądzie w ławach opozycji, to niech

ma tam jak największą reprezentację. Ultraszy z KO rozumują podobnie. Trzeba tak uczynić, aby KO miała jak najwięcej mandatów w sejmie.

Wtedy ewentualni koalicjanci z Lewicy i Trzeciej Drogi nie będą mieli siły, aby wrzucać swoje propozycje programowe. A jeśli opozycja demokratyczna i proeuropejska będzie mu-

siała zasiadać w ławach opozycji, to niech KO ma jak najwięcej tam swych parlamentarzystów.

Wyniki październikowych wyborów parlamentarnych mogą wyłonić słabą koalicję rządzącą. Nie wiemy, jak zachowa się prezydent Duda. Trzeba liczyć się z możliwością kolejnych przedterminowych wyborów parlamentarnych.

W partyjnym interesie PiS i KO jest tworzenie duopolu politycznego. W takim duopolu rządy zmieniają się, ale nawet opozycyjne elity polityczne mają szansę przechować się w wygodnych, stworzonych dla nich politycznych rezerwach. Nie tylko w polskim parlamencie, także w Parlamencie Europejskim i samorządach.

Ultraszy polityczni z PiS i KO marzą, aby obecna kampania wyborcza przypominała ustawkę kiboli piłkarskich. Stąd nawoływania, by nie głosować na Konfederację, Lewicę i Trzecią Drogę. Troskliwe rady, aby głosować jedynie na silne partie albo zostać w domu. Nie głosować. Bo niska frekwencja wyborcza jest w interesie dwóch największych partii.

Efektem sprowadzenia kampanii wyborczej do meczu PiS–KO jest też jakość tej kampanii. Zauważmy, że podstawowa debata między PiS i PO toczy się o to, co już było. Pierwszy proces wyborczy dotyczył sporu, czy za rządów PO–PSL bezrobocie wynosiło 14,8 proc., czy 15 proc.

Nie ma sporu o przyszłość. Jest spór dwóch grup historycznej politycznej rekonstrukcji. Proponowane teraz przez Tuska kieleckie starcie Giertych–Kaczyński to też kolejna debata o przeszłości, wypełniająca jałowo czas kampanijnych debat. Oglupiająca, zniechęcająca do udziału w wyborach, ale mobilizująca środowiska ultrasów. Kiboli politycznych. Tych kiboli, którzy nie pozwolili na debatę symetrystów podczas organizowanego przez KO Campusu Polska. Bo liderzy KO postanowili nie drażnić swoich internetowych pretorian. I zgodzić się na cenzurę polityczną. Dziś uciszani są symetryści, jutro będą uciszani radykalni aborcjoniści, a potem – zoologiczni antyklerykałowie. Już mamy atmosferę przytakiwania sobie przy odmawianiu prawa istnienia wszelkim innym poglądom.

Jeśli zatem nie chcesz żyć w ciasnym, ciemnym duopolu, to przede wszystkim idź na wybory. I głosuj świadomie, nie stadnie. Bo siła nas tylko w wielopolu.

PIOTR GADZINOWSKI

JAKO WAŻNA POSTAĆ BIBLIJNA KANDYDUJĘ ODCZYWIŚCIE Z RAMIENIA BLOKU CHRZEŚCJAŃSKIEGO!



Gliński przeskoczył płot... ...a Morawiecki rdzewieje stępkę.

Piotr Gliński, było nie było profesor zwyczajny Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, wykładowca akademicki, minister kultury i dziedzictwa narodowego, wreszcie wicepremier, jest małostkowym bzdziągwiarzem (czyli męską formą bzdziągwy). To niestety wiadomo nie od dzisiaj, ale już od czasu, gdy Gliński zwąchał się z Jarosławem Kaczyńskim i jest u niego na posyłki, a nawet zgodził się gadać do sali sejmowej z tabletu Kaczyńskiego.

Oto właśnie Gliński minister ni z gruchy, ni z pie-truchy powołał nową państwową instytucję kultury zatytułowaną Centrum Solidarności „Stocznia”. Umieścił ją w poniemieckim Szczecinie, który Stalin i Armia Czerwona zabrały III Rzeszy, a dały Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Przed powołaniem nowej jednostki Gliński złożył kwiatki pod pomnikiem Lecha Kaczyńskiego, który stoi przed siedzibą zarządu regionu NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego, i odklepał modły pod dyktando abepe Andrzeja Dzięgi, który nie tylko jest na każde skinienie tatki Rydzyska, ale przez lata ukrywał w sobie w kurii ewidentnego pedofila i drapieżcę seksualnego ks. Andrzeja Drymera. Ukrywał tak skutecznie, że Drymer zdołał zemrzeć, zanim go dopadła jako taka ludzka sprawiedliwość.

Dyrektorem i zarazem jedynym – na razie – pracownikiem jest historyk z IPN dr hab. Sebastian Ligarski. Z dorobku dr. hab. Ligarskiego nie wynika, aby kiedykolwiek zajmował się naukowo ruchem związkowym, Solidarnością czy podobnymi tematami. Choć powołana przez Glińskiego w Szczecinie nowa instytucja kultury ma się zajmować właśnie przede wszystkim „ochroną dziedzictwa Solidarności jako ruchu społecznego, ale także jako związku zawodowego”. Promować Solidarność w Polsce i – ho, ho, ho – na świecie.

Stępka Morawieckiego

Siedzibą nowego Centrum Solidarności ma być świetlica dawnej Stoczni Szczecińskiej im. Ludwika Warskiego.

Po 1990 r. stocznia w Szczecinie tak jak wszystkie polskie stocznie chyliła się ku upadkowi, chyliła, aż w końcu

padła. Przekształcano ją potem w rozmaite byty, aż 20 lat temu powołano Stocznnię Szczecińską Nową, będącą w 100 proc. własnością skarbu państwa. Aktualnie jest ona w stanie likwidacji. Już od lat jednak stocznia nie była de facto stoczną, ale czymś w rodzaju parku przemysłowego, na którego terenie działały prywatne firmy, pracujące na własny pożytek. Stocznia dzierżawiła im teren i część urządzeń. I to była jej główna działalność.

To w tej stoczni w 2017 r. premier Mateusz Morawiecki podkładał stępkę pod nowy polski prom. PiS wymyślił sobie program budowy kilku promów dla polskich armatorów, który nazwał „Batory”, choć MS „Batory” nie był promem, ale transatlantykiem. Miał to być szandarowy projekt PiS w zakresie gospodarki morskiej. I tak ta „poświęcona” przez Morawieckiego stępka leży na terenie dawnej szczecińskiej stoczni do dzisiaj i rdzewieje.

Nawiasem mówiąc, niektóre źródła twierdzą, że budowa kadłuba jednego z planowanych

promów jest zaawansowana – ale to tego budowanego w Stoczni Remontowej w Gdańsku. W Szczecinie ani ani. Po pierwsze nigdy w Szczecinie nie budowano promów, a już zrobić to siłami upadającej stoczni niepodobna. Okazało się, że jest kłopot z kredytowaniem przedsięwzięcia przez bank Pekao (chodziło o 600 mln zł na każdy zaplanowany prom). Na Bałtyku na liniach promowych rozwija się niemiecka, fińska, szwedzka konkurencja dla polskich przewoźników, która nie musi budować promów, bo je posiada. Zmieniają się co chwila koncepcje tych projektów.

Widać za PRL potrafili budować statki, a za III RP nie potrafią (wiem, wiem, upraszczam).

Co ciekawe, rok temu Morawiecki na jednym ze spotkań rzucił takim tekstem: „Jeżeli Polacy powierzą nam steryl rządów w przyszłym roku, to w pierwszej piątce moich priorytetów będzie pełna odbudowa przemysłu stocznioowego”. Hue, hue, hue.

Świetlica Jurczyka

Wracając jednak do stoczniowej świetlicy, czyli siedziby nowej instytucji kultury. To miejsce o tyle historyczne, że 30 sierpnia 1980 r. strajkujący robotnicy pod wodzą spawacza Mariana Jurczyka podpisali w niej z Komisją Rządową „Protokół ustaleń w sprawie wniosków i postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego”. Od tamtej pory świetlica zastęgała w swojej historyczności. A właściwie niszczała.

Dzięki Ziobrze poszukiwanym przestępcą możesz być i ty.

Kraina ludzi ściganych

Gdybyś chciał splunąć na ulicy, sprawdź, czy nie ma w okolicy strażnika miejskiego lub policjanta. Co prawda art. 154 kodeksu wykroczeń mówi, że kto zanieczyści lub zaśmieca miejsca dostępne dla ludności, a w szczególności drogę, ulicę, plac, ogród, trawnik lub zieleniec, podlega karze grzywny nie mniejszej niż 500 zł, ale dzięki „dobrej zmianie” za plucie możesz wyłudować w pudle.

Raczej żywy niż martwy

22-letni krakowianin jest poszukiwany przez policję listem gończym. Ma do odbycia dwa dni zastępczej kary aresztu za przeklinanie w miejscu publicznym. Znaczący za złamanie art. 141 kodeksu wykroczeń. Zastępcza kara aresztu jest za to, że gość dał się spisać. Potem zaś sprawa poszła do sądu, o czym mógł nawet nie wiedzieć. Sądy nader często wysyłają powiadomienia na adresy, które nie mają nic wspólnego z zainteresowanymi. W sądzie zapadł wyrok, o którym młody człowiek nie miał pojęcia, więc nie zapłacił jakichś groszy. Ale dzięki temu wszystkiemu jego buźka zaczęła zdobyć policyjny portal z listami gończymi.

Wszystko dlatego, że od stycznia obowiązuje nowela kodeksu karnego wykonawczego. Zakłada ona, że gdy nie można namierzyć skazanego i wyegzekwować od niego kary, to sąd zmuszony jest do wysłania za delikwentem listu gończego.

W praktyce wygląda to tak, że złapani na byle czym odmawiamy przyjęcia mandatu. Funkcjonariusz, który nas spisał, gada niezrozumiale, więc mało kto wie, że sprawa trafia do sądu. Jeśli mieszkamy gdzie indziej, niż stanowi adres z bliżej nieokreślonej policyjnej bazy, to nie wiemy nawet, że zostaliśmy skazani na grzywnę czy jak Tomasz Piątek – na prace społeczne. Nieświadomi grzywny oczywiście jej nie płacimy. Sąd zamienia ją więc na zastępczą karę aresztu, o której oczywiście nie mamy pojęcia.

I tu nadziewamy się na Ziobrową nowelizację.

Sąd nie wzywa już od stycznia skazanego na karę pozbawienia wolności do stawienia się w areszcie śledczym. Według nowych przepisów każe go zatrzymać i doprowadzić. Natomiast gdy miejsce jego pobytu nie będzie znane, sąd wydaje postanowienie o poszukiwaniu go listem gończym.



Wykonawcą postanowienia jest policja, która musi opublikować otrzymany z sądu list gończy.

Kraty za długi

Spisy poszukiwanych od stycznia zaczęły puchnąć. Pojawiły się listy gończe za tak groźne wykroczenia jak jazda na gape, picie piwa w miejscu publicznym czy przekroczenie prędkości. Tylko w ciągu pierwszych czterech miesięcy roku Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsku musiała listów takich opublikować 80. Za byle bzdurę ściga się ludzi tak jak przestępców z wyrokami za pobicie, kradzieże czy nawet zabójstwa.

W Krakowie rozpoczęto więc ściganie 23-latkę, którą sąd skazał na pięć dni aresztu za brak biletu, oraz 32-latkę, który za to samo dostał siedem dni paki. Wśród poszukiwanych listami gończymi w Krakowie byli także 46-latek, który musiał odbyć cztery dni aresztu za zanieczyszczenie miejsca publicznego, 27-latek, który za picie piwa w miejscu publicznym miał spędzić w areszcie 10 dni, oraz 49-latek, który prowadził pojazd

wbrew przepisom prawa i został skazany na trzy dni aresztu.

Jak się ma długi, to też można być ściganym listem gończym. Co prawda sam fakt posiadania niespłaconych zobowiązań nie jest jeszcze równoznaczny z byciem poszukiwanym, ale od czego są prawnicy wierzyteli? Mogą postarać się o ściganie wtedy, gdy komornikowi nie chce się pracować. Wnoszą więc o list gończy dlatego, że „wszelkie próby ściągnięcia długów przez komornika nie przyniosły skutku i wierzytel wystosował do organów ścigania zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa”.

List gończy może być wystawiony w przypadku oszustwa kredytowego, a więc gdy zaciągnęło się kredyt lub pożyczkę na podstawie dokumentów podrobionych, przerobionych czy poświadczających nieprawdę. W takich sytuacjach najczęściej jednak nie ściga się prawdziwych wyłudaczy, ale osoby, którym ukradziono dokumenty i wzięto na nie pieniądze. Dzięki temu ludzie pracujący za granicą, którym włamano się do polskiego mieszkania, gdzie mieli dowód osobisty, są dziesiątkami zatrzymywani na lotniskach.

Czy te oczy mogą...

Długami są też niespłacone alimenty. Alimentariusze brylują więc na policyjnych portalach z listami gończymi. Tak jak pani Marta. List gończy zawiera jej fotkę, nazwisko i drugie imię. Imiona rodziców i nazwisko panińskie matki też. Z listu dowiadujemy się również, że pani Marta jest kobietą, kiedy i gdzie się urodziła, i poznajemy jej dokładny adres. No i to, że nie ma pseudonimu.

List zawiera też podstawę prawną ścigania, czyli alimentarstwo. Najciekawsze są jednak „cechy rysopisowe”: włosy farbowane, uszy normalne, nos prostolinijny, oczy normalnie osadzone, wzrost 161–165 cm i kolor oczu – jasne.

Listy gończe mogą też zawierać tak istotne do rozpoznania dane jak w przypadku pana alimentariusza, któremu wyciągnięto nawet to, że jego krew ma grupę A Rh+, uzębieńie pełne, wargi średnie, czoło średnie, cerę czerwoną, twarz trójkątną, brak zarostu, a oczy – ciemne.

Czy listy gończe wypisują idioci? Co to – w sytuacji zamieszczenia dobrej jakości fotki – znaczy cera czerwona, twarz trójkątna czy wargi średnie? Po cholere ta krew? Szczytem głupoty jest oczywiście wypisanie facetowi, że nie ma zarostu, bo może go mieć już po trzech dniach. I co to, do ciężkiej cholery, za kolory ciemny i jasny? Kolory to są niebieski, brązowy, czarny, zielony albo nawet piwny.

Najgorsze jest to, że z tak debilnym opisem ścigana osoba nie może nic zrobić. List gończy jest dokumentem, co do którego nie przysługuje bowiem żaden środek zaskarżenia. Oznacza to, że od jego treści nie można się odwołać.

O bezmyślności ludzi wklepujących do internetu listy gończe świadczy to, że czasem są pod

nimi ostrzeżenia o odpowiedzialności karnej za ukrywanie poszukiwanego lub dopomaganie mu w ucieczce. Ukrywaniem jest przecież wspólne zamieszkiwanie z kimś, kto nie ma pojęcia, że jest ścigany. A wtedy za pomoc osobie skazanej na trzy dni można dostać pięć lat więzienia!

Jaki sens ma poszukiwanie na podstawie listu gończego przez sąd w Brzegu 23-letniej pani Kasi z Krakowa, która mieszkała zresztą zupełnie gdzie indziej? Poszukiwanie w celu „odbycia 5 dni zastępczej kary aresztu za wykroczenie polegające na nieuiszczeniu opłaty za przejazd koleją (art. 121 § 1 Kodeksu wykroczeń)”. Po co w tym wszystkim dopisywać, że „wszelkie informacje mogące pomóc w ustaleniu miejsca przebywania poszukiwanej kobiety prosimy kierować do...”?

Jak przygoda, to tylko w więzieniu, więzieniu...

Obdzwonieni policjanci nie spotkali się z sytuacją, by ktoś zakablował osobę z tak śmiesznymi zarzutami. Natomiast zdaniem gliniarzy o sensie takich listów gończych za bzdury świadczy to, że jedna trzecia ściganych zgłasza się sama i płaci groszowe grzywny. I jak przynajmniej funkcjonariusze, ludzie ci dopiero z listów gończych dowiadują się, że duperela, o której już dawno zapomnieli, mogła ich zaprowadzić za kratki.

Poza tym gliny każą się pukać w głowę tym, którzy wymyślili tak głupie prawo. Pytają, czy doprawdy nie ma innych niż areszt metod wyegzekwowania stosunkowo drobnych przecież kar grzywny? Gdzie egzekucja komornicza? Albo zajęcie zwrotu z PIT-u? Czy wstrzymanie świadczeń socjalnych? Przecież znalezienie nieprzestępcy w czasach pełnej informatyzacji nie powinno być problemem dla komorników czy innych państwowych windykatorów.

Policjanci dodają też, że jeśli nawet są osoby, od których nie da się nijak ściągnąć należności – bo nie ma z czego – to fundowanie im noclegu z wyżywieniem i opieką medyczną na nasz koszt nie jest chyba dla nich karą.

Bardzo podobnie do kilkudniowych zastępczych kar podchodzi służba więzienna.

Kławisz nienawidzą krótkotrwałych gości. Więzienna logistyka związana z przygotowaniem przyczy, wielogodzinne procedury przejścia i wypisu generują niepotrzebne koszty i zabierają czas funkcjonariuszom.

Dlatego proponują, żeby zamiast do nich pensjonariuszy kierować na dołki na komisariatach.

Choćby dlatego, że miesięczny pobyt w pierdlu to dziś ponad 6 tys. zł wydane z budżetu. Doba to zatem 200 zł. Ale jest to liczone dla więźniów długoterminowych. Stąd – jak mówią więzienni intendenści – w przypadku pobytów do tygodnia koszt więziennodniówki za plucie na chodnik to ponad 250 zł.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pozwolę sobie zacytować fragment tekstu poświęcony świetlicy z września 2022 r. z portalu Szczecin Nasze Miasto: „Tu czas się zatrzymał. Ogromna pusta sala z kolumnami obitymi boazerią i podłogą wyłożoną pomalowanymi farbą olejną płytami pilśniowymi (by robotnicy stoczni buciarami nie zniszczyli parkietu). Stare krzesła zsunięte są pod ściany. Na scenie tuż przy wejściu stoi mównica, z której przemawiali przywódcy strajków. Za zakurzoną kurtyną wisi jeszcze półgłówny baner z hasłem: »Żądamy rozliczenia odpowiedzialnych za upadek Stoczni Szczecińskiej«.

Z kolei w składziku za sceną przykuwają uwagę styropianowe tablice – jedna z napisem »Solidarność«, druga »ZSMP« i trzecia »IX Zjazd PZPR«.

Teraz łatwiej zrozumieć uwagę Glińskiego, że „już za kilka lat wyremontowana stoczniowa świetlica, którą Centrum będzie zarządzać, będzie służyła nam wszystkim”.

Dr hab. Ligarski będzie chyba wobec tego musiał przez najbliższe lata zajmować się raczej pracami technicznymi niż humanistycznymi – miotła, łopata, szpachla, pędzel.

Ile to wszystko będzie kosztowało, nie wiadomo, wszak za kilka miesięcy ministrem kultury nie musi być Gliński, a ktoś ze zgola innego rodu. Ale nawet gdyby dalej był to Gliński, po wyborach jego wsparcie dla powołanej instytucji może znacznie zelżeć, jak gorączka po stłuczeniu termometru, by zacytować faktycznego bohatera Sierpnia ’80.

Solimarność nad marnościami

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że pomysł z tworzeniem Centrum Solidarności „Stocznia”

WALDEMAR KUCHANNY

Czarny osioł Kaczyńskiego

Mejza – sweet, sweet Tulipan, bez pytań wróc, adres znasz.

Podczas gdy cała Polska co chwilę otwiera usta w zachwycie bądź wykrzywia je w obrzydzeniu na wieść o kolejnych nazwiskach kandydatów pojawiających się na listach do sejmiku, województwo lubuskie kibicuje jednemu: Łukaszowi Mejzie. „Oby ten wąż listą trząsł” – rechoczą mieszkańcy i czekają na werdykt Jarosława Kaczyńskiego.

Łukasz Mejza w lubuskim mieszka, grubą ma skórę ten nasz koleżka

Posel Łukasz Mejza, przyklejony aktualnie do Partii Republikańskiej, dał się poznać jako znany uzdrowiciel i wytrawny biznesmen. Jedną z jego firm naciagała rodziców śmiertelnie chorych dzieci na lewą terapię w Meksyku, której skutkiem miało być przywrócenie stanu zdrowia do olimpijskiej formy (i to za jedyne 80 tys. dolarów), druga wysłała 750 tys. zł ze środków uniijnych województwa lubuskiego na szkolenia, które się nie odbyły. I to mu właśnie dało ogólnopolską sławę i rozpoznawalność, a nie chwilowa posada wiceministra sportu.

Ale poseł Mejza nie po to urósł taki duży, żeby miał trzymać głowę nisko. Otrzeptał się z gówna, wypiął pierś i w myśl zasady, gdzie partia nie może, tam posle pacholą, został pierwszym przyciskiem Jarosława Kaczyńskiego.

Uczy się pilnie przez całe ranki ze swej pisowskiej ważnej czytanki

Z zaangażowaniem, którego pozazdrościłby mu początkujące gwiazdy porno, Mejza wziął się do roboty. Urabiał sobie pałę i nadgarstki w mediach społecznościowych, opluwając i gryząc, jak partia kazała. Miał Tu-

ska i opozycję, a odbiorcy mieli go. Pamiętliwy naród nie chciał odpuścić okradzionych dzieci, tłukł posła słowem jak psa pałą na smalec, a i wspominał o nauce pływania w Odrze, najlepiej w betonowych butach. Uciekał więc Mejza do TVP Info, gdzie nikt go nie jebał, a zasięg był spory, i prul się srodze, aż ślina przyskała.

Ciężka to praca być posłem. Ledwie wyszedł sprzed kamer, ledwie napluł z Twittera, już trzeba było gonić do sejmiku – posiedzenie rzecz święta. Gdyby się zdarzyło, że PiS by głosowało za likwidacją PiS-u, Mejza nacisnąłby przycisk „za” pierwszy. Mierny, bierny, ale wierny – na smakołyk z pańskiego stołu trzeba sobie zasłużyć. Partia nigdy się nie myli, a Mejza jest zawsze za partią.

A gdy do domu z sejmiku powraca, bywa, bryluje, to jego praca

Kiedy temat rychłych wyborów zdominował codzienność i stało się jasne, że Kaczyński będzie trzymał ostateczny kształt list pod kluczem, na zachodzie Polski zapanowało poruszenie. Plotka głosiła, że Mejza wystartuje z listy PiS-u w lubuskim, może nawet jako dwójka, co niezmiennie ucieszyło mieszkańców województwa przez skojarzenie z gównem, a w stan najwyższej trwogi postawił przedstawicieli partii w regionie.

Prawica w lubuskim ma lekko jak – nie przymierzając – zesłańcy w trans-



Rys. MARCIN CHUDZIK

porcie na Syberię, a wpisanie na listę pokraki pokroju Mejzy to jak przybicie piątki taboretom.

Adam Bielan z Partii Republikańskiej zarzekał się, że Mejza wystartuje z listy PiS-u, Marek Ast z lubuskich struktur PiS dementował, że nic o tym nie wie. Atmosfera gęstniała, a Mejza nie próżnował. Chwilę przed oficjalnym ogłoszeniem terminu wyborów poseł ruszył, aby obesrać rodzime województwo z istic bizantyjs-

skim przepychem swoimi bannerami. Starym zwyczajem zrobił to – a jakże – nielegalnie (złe nawyki drugą naturą człowieka, a zmienianie natury trwa czasem tysiąc lat), wprowadzając w stan zdumienia i kurwicy właścicieli plotów i budynków, którzy zastali na nich republikańskie straszdyła.

Bannery zniknęły, zdzierane w afekcie, a Mejza, jak upierdliwy parch skórny, z lubuskiego zniknął nie chciał.

Pojawił się na festynie w Łochowicach, małej miejscowości pod Krosnem Odrzańskim, gdzie strzelił fotkę z paniami z lokalnego koła gospodyń wiejskich. Słuszną miał linię pan poseł, że zapuścił wąsa i włożył okulary. Kobieciny z koła skapnęły się, z kim zapozowały, dopiero wtedy, kiedy zdjęcie pojawiło się na facebookowym profilu Mejzy. Reakcja była natychmiastowa – zdeментowały jakkolwiek współpracę z posłem.

Mejza, nierażony urazą dam, dalej jak pijany płotu trzymał się planu.

Kiedy w ubiegłą niedzielę do Zielonej Góry zawitał w końcu piknik rodzinny „800+”, radości nie było końca. Lokalni przedstawiciele partii niemrawo, bo niemrawo, ale zapraszały na imprezę. Reklamować pisowskie bale w Zielonej Górze to jak urządzać zajęcia fitness w obozie zagłady – zupełnie bez sensu, zachód od lat stoi Platformą.

Spółecznicy uzbrojeni w aparaty czekali w blokach startowych. Przyjechała Elżbieta Rafalska, europosłanka PiS, która, jak wieść głosi, ma być jedynką na liście, pojawił się i on, tańczący ze szczurami hrabia trutki Mejza, choć, jak się okazało, nikt go nie zapraszał. Kiedy przechadzał się po terenie imprezy krokiem cyrkowego klauna, lokalni działacze PiS bawili się w ciuciubabkę – być z Mejzą na zdjęciu to jak wykopać sobie polityczny grób. Gromka radocha niosła się po społecznej stronie – oby tak dalej, oby tak dalej!

Czy Jarek kocha też tego posła, Czy też uważa za kmiota i osła

Jako lubuszanka i zielonogórzanka nie wiem, czym miejscowa odnoga Prawa i Sprawiedliwości tak podpadła Warszawie, że ta chce jej podrzucić już nawet nie kukulczę, ale zgniłe jajo. Trzeba mieć fantazję, żeby w regionie, w którym od lat wygrywa Platforma Obywatelska, wbić gwóźdź do trumny prawicy pod postacią tak skompromitowanego osobnika jak Mejza.

Jedno jest pewne: wszyscy jak jeden mąż trzymamy kciuki za Mejzę, niech wejdzie na listy, niech pomoże PiS-owi spierdolić się z rowerka.

Niech Mejza wróci jako bezrobotny i bez immunitetu do regionu. Mieszkańcy przywitają go z należytą uwagą i „troską”.

Na razie pokusiłam się o telefon do operatora ogólnopolskich zakładów bukmacherskich. Zapytałam panią konsultantkę, czy wobec znaku zapytania co do ewentualnego wejścia na listę wyborczą PiS-u chyba najbardziej zohydzonego posła można obstawiać taką ewentualność. Głos w słuchawce poinformował mnie, że na tę chwilę są dostępne dwa zakłady wyborcze: procentowy układ dwóch partii oraz która partia jest lepsza. Po krótkiej rozmowie konsultantka zapodała, że zgłosi propozycję zakładu z Mejzą. Lubuskie nie może się doczekać.

IDALIA DUBICKA

ETYKA BEZBOŻNA

Twój cyrk, małpy twoje

Nie milkną echa odwołania dyskusji panelowej symetrystów na corocznej imprezie Platformy Obywatelskiej Campus Polska. Symetryści to tacy, co nie lubią ani Kaczyńskiego, ani Tuska, wobec czego mają skłonność do stawiania ich na jednej płaszczyźnie – tak jak gdyby PiS był normalną partią, będącą w normalnym sporze z opozycją. To bardzo wkurzające stanowisko i można się dziwić, że ktoś wpadł na pomysł zaproszenia na imprezę propagandową dziennikarzy tej orientacji. Czego jednakże się nie robi dla demokracji i pluralizmu! Gdy były naczelny „Playboya” symetrysta Marcin Meller dobrał sobie samych tylko symetrystycznych rozmówców i okazało się, że nie są to osoby lubiące przebiegać w słowach ani tym bardziej lubiące to samo, co lubi PO, zrobiła się awantura i panel odwołano. Pluralizm ma jednak swoje granice, prawda?

Gdy ktoś chce być taki do przodu, taki otwarty i tolerancyjny, że aż strach, to zaraz mu ktoś wskoczy na plecy. Lepiej się więc nie wystawiać i nie podkładać, bo ani ta tolerancja nie jest taka szczerą, ani przeciwnik taki skory, aby ją docenić. Każdy z nas ma prawo do pewnej stronniczości i dobiegania sobie towarzystwa. Oczywiście, wychodzenie poza własną niszę czy też – jak to się dzisiaj ładnie mówi – wychodzenie poza strefę komfortu zasługuje na uznanie. Pod warunkiem że jest rozropne i nie na pokaz. W kontaktach z przeciwnikami i wrogami trzeba zachowywać ostrożność i autonomię. Udawanie, że „nie ma sprawy”, bo „umiemy się pięknie różnić” – jak każde udawanie – jest niemądre i źle się kończy.

Panowie z Platformy dostali nauczkę, by nie tańczyć z wilkami, ale problem etyczny, na który się nadziali, dotyczy wszystkich. Każdy z nas czasami napotyka dylemat: wpuścić nieprzyjazne osoby do swojego świata czy ich nie wpuścić? W końcu gdyby wszyscy się izolowali, trzymając wyłącznie ze swoimi, to świat rozpadłby się na niezliczone towarzystwa wzajemnej adoracji wzajemnie się ignorujące, a nawet wzajemnie sobie wrogie. Trzeba być trochę otwartym, trochę wielkodusznym, trochę cierpliwym. Trochę, to znaczy jak bardzo? Im większe i bardziej sformalizowane forum społeczne, tym bardziej wymaga-

ny jest pluralizm. Czy chcemy, czy nie, parlament zawsze będzie pełen trudnych do zaakceptowania osobników. Z drugiej strony w życiu osobistym możemy sobie pozwolić na daleko idącą selekcję. Jednakże tylko do pewnego stopnia. Rodziców, dzieci ani rodzeństwa sobie przecież nie wybieramy. Musimy jakoś żyć z bliskimi, którzy mówią rzeczy trudne dla nas do zaakceptowania.

W sprawie otwartości i tolerancji jest wiele mitów i nieporozumień. Nie jest prawdą, że gdy ktoś stanowczo odrzuca czyjeś poglądy i używa mocnych słów potępienia, zamiast grzecznie i z szacunkiem wyrażać inne zdanie, to sam się przez to kompromituje, podczas gdy głosiciel owych poglądów, jeśli tylko wyraża się łagodnie i grzecznie, automatycznie uzyskuje przewagę. Można mówić agresywnie brednie językiem pełnym tklivości i łagodności (jak to się nagminnie zdarza biskupom), a za to moralny gniew i mocne słowa często są bardziej na miejscu niż umiarkowana krytyka czy wyrażanie odmiennego zdania.

Przesądem jest również fetyszyzowanie czegoś, co nazywa się dyskusją. Są poglądy tak głupie i niemoralne, że przyznawanie im równych praw obywatelskich w przestrzeni publicznej z opiniami rozsądnymi i moralnie akceptowalnymi jest czystą hipokryzją.

Nie, nie ze wszystkim i nie ze wszystkimi należy się zadawać czy też dyskutować. Poglądy nie są niewinne – często są obrzydliwe moralnie i godne potępienia, a nie debaty. Debatować można z kimś, kto w naszym przekonaniu błędzi, lecz ma

dobrą wolę i jako taki szacunek dla prawdy. Aroganci, besserwisserzy i zatwardziali dogmatycy do żadnych debat i dyskusji po prostu się nie nadają. Zwyczajnie nie spełniają warunków wstępnych, takich jak gotowość zmiany przekonań pod wpływem argumentów. Dlatego na przykład kler katolicki z natury rzeczy nie może brać udziału w uczciwej rozmowie, choć tak bardzo lubi mówić o dialogu.

A jednak ludzie nie dzielą się tak po prostu na dwie grupy: zasługujących, żeby się z nimi zadawać i dyskutować, oraz na to niezasługujących. Również my sami, czyli piszący i czytający te słowa, nie jesteśmy wszak doskonali i każdy z nas ma jakieś uprzedzenia, czasami mówi głupstwa albo upiera się przy czymś fałszywym. Jeśli tolerujemy to w sobie, powinniśmy tolerować też u innych. Granice tej tolerancji mogą być szersze lub węższe, lecz każda i każdy z nas ma moralny obowiązek być trochę krytycznym względem siebie i odpowiednio do tego mieć trochę cierpliwości w relacjach z trudnymi dla nas osobami.

„Trochę” nie znaczy „jak najwięcej”, lecz „w miarę”. W miarę naszych możliwości psychicznych, odpowiednio do warunków, a przede wszystkim na tyle, na ile pozwala na takie trudne zbliżenie dobra wola drugiej strony. Do obcego trzeba podchodzić ostrożnie, a może nawet nieufnie, lecz mimo to z szacunkiem i nadzieją na częściowe przynajmniej porozumienie i poprawienie stanu naszych relacji. Nadal jednakże obcy sobie mentalnie ludzie będą woleli przebywać w własnym teyrytorium i będą chcieli czuć się na nim swojsko. Campus Polska to nie żadna agora, lecz impreza Trzaskowskiego z Nitrasem, na którą mogą sobie zapraszać, kogo chcą. Mnie akurat nie chcą. Szkoda, ale to ich prawo. Ich cyrk, ich małpy.

JAN HARTMAN



Rys. MARCIN CHUDZIK

Któż się sprzeciwi z szeregu wodzowi?

W sadzając Romana Giertycha na kielecką listę Koalicji Obywatelskiej, Donald Tusk piecze dwie pieczenie. Obie dla siebie.

Z jednej strony – jest to demonstracja siły. W istocie rzeczy niepotrzebna, przecież i tak nikt nie ma wątpliwości, w Platformie i poza nią, że Tusk rządzi partią i listą w sposób niepodzielny. Być może odczuł jednak, że na Giertychu jego autorytet nieco się zachwiał.

Kiedy pojawiła się koncepcja wystawienia Giertycha do senatu, opór był tak silny, że w końcu koncepcja zdechła śmiercią naturalną. Prawdą jest, że wtedy Tusk nie zdecydował się otwarcie wziąć za niego odpowiedzialności i zgłosić go jako kandydata z puli PO, ale przecież wszyscy i tak wiedzieli, że byłby szef Ligi Polskich Rodzin jest adwokatem rodziny Tuszków i Donald osobiście za nim stoi.

Na początku sierpnia Szymon Hołownia – zapewne w nadziei na przypodobanie się „liderowi opozycji” – „położył oficjalnie nazwisko Giertycha na pakcie senackim”. Zastrzegając, że ma on być „kandydatem niezależnym”, i jeszcze dodatkowo izolując się oświadczeniem, że robi to razem z Michałem Kobosko, co zapewne miało rozwozić odpowiedzialność wobec własnej formacji. Ale reakcja w Polsce 2010 była tak silna, że pomysł upadł. Przyczyniła się do tego Lewica, która zapowiedziała, że jeśli Giertych znajdzie się w pakcie senackim, to ona wystawi w tym okręgu kontrkandydata, nawet łamiąc pakt. Jakby tego nie było dosyć, Barbara Nowacka zgłosiła wtedy stanowcze weto, nazywając samogłoszenie Giertycha w okręgu podpozańskim „pokazem patriarchalnej siły i arogancji”.

Prywata Tuska

Warto odnotować, że tym razem ani Nowacka, ani żadna inna feministyczna działaczka PO nie uznała za stosowne się



Giertych na pakcie

wypowiedzieć. Wirtualna Polska poprosiła o komentarz kilka posłanek Koalicji – w tym szefową Inicjatywy Polskiej – i nie doczekała się odpowiedzi. Ponoć w PO słychać głosy, że Giertych na sejmowej liście KO w Kielcach to „prywatna Tuska” i jego jednoosobowa decyzja, ale są to głosy anonimowe. Tusk chciał mieć Giertycha na liście i postawił na swoim, żeby nikt nie miał wątpliwości, kto tu rządzi.

Przy okazji, nawiasem mówiąc, z ostatniego miejsca w Kielcach wyleciał obecny poseł z tego okręgu Adam Cyrański, wywodzący się z Nowoczesnej przedsiębiorca, popularny w regionie poseł dwóch kadencji, obecnie bezpartyjny. Pytany o los kandydatury Cyrańskiego szef wojewódzkiej struktur PO Artur Gierada odpowiada wymijająco: „Chciałbym zaznaczyć, że nie mogę jeszcze zdradzić konkretnych informacji, gdyż muszę porozmawiać z osobami zainteresowanymi o ewentualnych rozsadach na liście”.

Druga przyczyna obecności mecenasa Giertycha na liście KO w okręgu 33 jest bodaj jeszcze bardziej małosłowna.

Tylko dla ciebie, Jarosławie

W tej kwestii szef PO był imponująco szczery: zrobił to na złość Kaczyńskiemu. „Żebyś nie czuł się samotny, żebyś poczuł się trochę lepiej, robię to tylko dla ciebie, Jarosławie” – ogłosił Tusk w Sopocie w monologu, który łączył w sobie dość niewyrafinowaną ironię z osobistą zawziętością. Ja rozumiem, że Donald Tusk szczerze i z wzajemnością nie znosi Jarosława Kaczyńskiego, ale stawka w tych wyborach naprawdę jest dużo większa niż zastarzała wrogość dwóch starszych panów.

Roman Giertych jest niewątpliwie postacią wyrazistą – a także brutalniejszym polemistą – niż liderka kieleckiej listy posłanka Marzena Okła-Drewnowicz, którą mało kto w Polsce kojarzy z nazwiska, mimo że jest wiceprzewodniczącą partii. Czy jednak osłabi to wynik Kaczyńskiego

w Kielcach? Czy też raczej wręcz przeciwnie, będzie działało na jego korzyść, zwiększając temperaturę dyskusji, pogłębiając polaryzację?

W 2001 r. liderem listy Zjednoczonej Prawicy w okręgu 33 był Zbigniew Ziobro. Partia rządząca dostała tam wówczas 55 proc. głosów, co dało jej 10 z 16 mandatów. Z Kaczyńskim na czele wynik będzie jeszcze lepszy. Najpewniej kosztem małych partii opozycji: PO w tej chwili ma w tym okręgu trzy mandaty i można przypuszczać, że je utrzyma. Giertych prawdopodobnie wywalczy mandat dla siebie, bo jest jakaś grupa wyborców antypisu, dla których nawalanie w prezesa jest wartością najwyższą. Ale czy przyniesie to jakąś korzyść całej formacji?

Wkurwić Kaczora

Artur Gierada, przewodniczący PO w Świętokrzyskiem, w „Gazecie Wyborczej” przyznaje, że start Romana Giertycha to „dla wielu duża niespodzianka” (nie trudno zgadnąć, że dla niego też), ale „oznacza wzmocnienie naszej listy o konserwatywną część elektoratu”. Na to bym specjalnie nie liczył: jak trafnie zauważa prof. Rafał Chwedoruk, polaryzacja jest dziś tak głęboka, że konserwatyści po stronie „opozycji demokratycznej” – podobnie zresztą jak liberałowie po stronie PiS – są całkowitym marginesem i w zasadzie się nie liczą. Jeśli ktoś ma przekonanie, że życie należy chronić od poczęcia, a sodomia to grzech śmiertelny, raczej nie zgłasza się na listę Koalicji Obywatelskiej, nawet jeśli trafi się na niej jakiś integrysta katolicki. Jeżeli bardzo mu nie po drodze z PiS, to zawsze ma Konfederację.

Jednak nawet jeśli Roman Giertych na kieleckiej liście Platformy w żaden sposób nie osłabi Jarosława Kaczyńskiego, to na pewno go zirytuje. Kaczyński, jak większość osobowości autorytarnych, bardzo źle znosi krytykę, zwłaszcza ze strony ludzi, którzy dopuścili się wobec niego „zdrady”, a w końcu – jak Tusk dobitnie podkreślał –

Giertych był „jego wicepremierem, w jego rządzie” i gdyby nie Kaczyński, nigdy by takiego stanowiska nie osiągnął. Stąd nawet jeśli harcowanie Romana po kieleckim nie przyniesie Tusкови nowych głosów, to niechybnie sprawi mu radość. Co jest może i zrozumiałe, ale jednak nieco sztabackie jak na „lidera opozycji demokratycznej”.

Co interesuje ludzi

Zwłaszcza że niewykluczone, że wetknięcie Giertycha na listę Platformy jakieś głosy jej odbierze. To mnie akurat nie martwi; beneficjentem może być bowiem Lewica. Wystawienie Giertycha jest – jak trafnie zauważył Adrian Zandberg – mocnym sygnałem da tych wszystkich postępowych wyborców, którzy wahają się między Lewicą i Koalicją Obywatelską. Wskazuje nie po raz pierwszy, że jedynym spoiwem Koalicji Obywatelskiej jest antypisim.

Co łączy Romana Giertycha z „demokratyczną opozycją” poza obsesyjną niechęcią wobec Prawa i Sprawiedliwości? Giertych nie jest demokratą, nie wykaże przywiązania do praw człowieka, a zwłaszcza kobiet, jego stosunek do Zjednoczonej Europy jest w najlepszym razie ambiwalentny.

Tomasz Siemoniak przekonuje, że były wicepremier w gabinecie Jarosława Kaczyńskiego „odkupuje winy 15 lat”, albowiem „szczerze walczy o demokrację”. Nie, Giertych szczerze walczy z Kaczyńskim.

Na pytanie Dominiki Wielowieyskiej, czy Giertych na liście KO do sejmu nie skłoni części wyborców do przetrwania głosu na Lewicę, Siemoniak odpowiedział: „Ludzi interesuje zrobienie wszystkiego, by te wybory wygrać”. Nie, panie pośle. To interesuje partię. Ludzi interesuje to, w jakim kraju będą żyli potem. Jeśli będzie to kraj na miarę Romana Giertycha, wielu z nas może nadal czuć się tu niekomfortowo.

AGNIESZKA WÓLK-LANIEWSKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ W kulturze chrześcijańskiej seks jest obecny i doceniony. Bazując na realistycznej filozofii bytu, chrześcijaństwo dostrzega wszystkie cechy człowieka i zaprowadza w nich porządek. To, co niższe, podlega temu, co wyższe, czyli nad instynktami i popędami góruje rozum i wola. Seks jest wręcz wskazany, gdyż ludzie mają się rozmnażać, by zaludnić Ziemię. Nie może to jednak być jakiegokolwiek **używanie seksu**, lecz uporządkowane. Sfera ta ma bowiem służyć człowiekowi, jego dobremu życiu i **dobru publicznemu**. Chrześcijaństwo potrafi to wyważyć.

Bartosz Kopczyński, PCh24.pl, 26 sierpnia

■ **Przyjemność jednak jest pokusą**, powodującą zachowania sprzeczne z celami małżeństwa. Kościół sprzeciwia się temu, traktując akty takie jako grzech. Jest to zarazem **jeden z najważniejszych powodów apostazji i ataków na Kościół**. Jego wrogowie korzystają z bałamutnej filozofii, sztuki, literatury, psychologii, by udowodnić, że chrześcijaństwo zakazuje seksu i zabrania przyjemności. Oczernia się życie chrześcijańskie, przeciwstawiając mu wizję jednostek, które wyzwoliły się z ciasnego gorsetu patriarchalnych norm społecznych i teraz używają życia, kochają, kogo pragną, i stają się takimi, jakimi chcą. Jest to oczywisty fałsz antropologii, celów i zachowań człowieka.

dalej Kopczyński

■ Człowiek w wieku szkolnym powinien **skupić się na nauce**, ma bowiem niewiele czasu, żeby nauczyć się podstaw wiedzy i umiejętności, dzięki którym będzie mógł żyć jako dojrzały, samodzielny człowiek, tworząc rodzinę i społeczeństwo. **Seksualizacja** podsuwa mu w tym czasie program alternatywny. Może poświęcać czas na pornografię i snucie fantazji seksualnych. Ma to dwojaki skutek. Czas poświęcony na głupoty nie będzie przeznaczony na naukę. Uwaga jest niezbędna, żeby nauczyć się czegośkolwiek. Rozproszona przez silne seksualne emocje i wrażenia skutecznie utrudnia naukę szkolną.

Kopczyński

■ Efektem [in vitro] jest ogromna śmiertelność dzieci nienarodzonych, dzieci w stadium embrionalnym oraz długofalowe, bardzo poważne negatywne konsekwencje zdrowotne w przypadku dzieci poczętych tą metodą, a także konsekwencje zdrowotne dla rodziców – nie tylko dla matek, ale również dla ojców. W przypadku in vitro **u ojców** mówimy raczej o **konsekwencjach psychicznych**, natomiast **matki** doświadczają długofalowych konsekwencji, ciągniętych skutków zdrowotnych. [...] Najczęściej się to **nowotwory złośliwe**, często takie procedury prowadzą do niepłodności, a czasem mogą skończyć się nawet zgonem.

dr Monika Zazula, Radio Maryja, 27 sierpnia

■ Zaproszony przez Akademię Kultury Medialnej i Społecznej w Toruniu miałem przyjemność poprowadzić zajęcia medialne dla kilku grup odbywających się tam wakacyjnych warsztatów zatytułowanych „Życie to... coś więcej!”. [...] Realizowany program podkreśla wspałość życia, możliwości, jakie stoją przed człowiekiem idącym drogą prawdy, wiary, służby i miłości do Ojczyzny. [...] Przy takich okazjach każdy może sobie raz jeszcze uświadomić, jak **wielkie dzieło powstało** (i nadal jest tworzone) w Toruniu. [...] W sumie wspała rodzina instytucji, przedsięwzięć, środowisk, które razem stały się wiodącym ośrodkiem kulturalnego i intelektualnego życia katolickiego w Polsce, dobrze służąc Kościołowi i Polsce. [...] Dlatego właśnie tak wściekle od tak wielu lat **atakują ojca Tadeusza Rydzka**.

Michał Karnowski, wPolityce.pl, 28 sierpnia

■ Jesteśmy w przełomowym momencie historii. Zazwyczaj Polacy nie potrafili doprowadzać swoich zwycięstw do końca, a same zwycięstwa kosztowały sporo krwi. Tym razem możemy **wygrać Polskę** w zwykłej demokratycznej procedurze. Owszem, będą prowokacje medialne, do których dojdą kłamstwa na taką skalę, jaką trudno sobie wyobrazić [...]. Politycy ugrupowania, które ma Polskę w sercu, mogą wygrać te wybory i już **trzecią kadencję** trzymać rzeczników obcych interesów w głębokiej opozycji.

Jakub Maciejewski, Radio Maryja, 28 sierpnia

Wybrał KLECHA

MÓZDZEK TYGODNIA

Nie jest mędrcem człowiek, który o głupcach mówi, że są głupi. Jeśli tak, to nie jest mędrcem Artur Soboń, odwieczny pisowski wice-minister, kiedyś w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, Ministerstwie Aktywów Państwowych oraz Ministerstwie Rozwoju i Technologii, teraz w Ministerstwie Finansów. W programie „Kropka nad i” Sobon błyśnął taką myślą, którą podzielił się z publicznością: „Platforma Obywatelska ma listy na zasadzie »Głupi i głupszy« – Kołodziejczak, Giertych – a nie, żeby zdobyć jak największą liczbę mandatów”.

Soboniowi chodziło o listy wyborcze i mandaty do sejmu, a nawiązywał do szczególnie kretyńskiej filmowej komedii amerykańskiej.

Jeżeli nazwisko Sobonia znajdzie się na parlamentarnej liście wyborczej Prawa i Sprawiedliwości – a pewnie się znajdzie – to ogłosimy: PiS ma listy na zasadzie „Pięknego umysłu” – przykładem Sobon – żeby zdobyć tak dużo mandatów, jak tylko się da.



Ilustracja: KRZYSZTOF OLEJNIK

Referenda dwa

PiS podąża śladami PPR.

Polska Ludowa w swych początkach miała doświadczenie z referendum raczej nieudane, ale pod pewnymi względami podobne do tego, które nas czeka za niespełna dwa miesiące, także pozostające w związku z wyborami parlamentarnymi.

Ówczesna Polska została zobowiązana przez zwycięskich aliantów udzielających zgody na utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej do możliwie szybkiego przeprowadzenia wyborów parlamentarnych i powołania rządu już nie tymczasowego. Ale sytuacja takim wyborom nie sprzyjała, połowa kraju wciąż ogarnięta była małą wojną domową z podziemiem. Kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej w celu przesunięcia o rok wyborów wykorzystało propozycję Stanisława Mikołajczyka, aby poprzedzić je referendum mającym uzyskać społeczne przyzwolenie na rezygnację z senatu, w tym czasie organu konstytucyjnego. Obecnie rozpisane referendum połączono z wyborami również w celu doraźnie politycznym, aby uczynić z niego trampolinę wzmacniającą słabnące Prawo i Sprawiedliwość.

...

W 1946 r. referendum zaplanowano na 30 czerwca, a wybory na styczeń 1947 r. W obu przypadkach rządzące autokratycznie partie tak dobierały pytania referendalne, aby odpowiedź na nie nasuwała się sama przez się i była zgodna z ich oczekiwaniami. W 1946 r., poza pierwszym pytaniem z konieczności dotyczącym senatu, pozostałe dwa wydawały się retoryczne. Dotyczyły zgody na unarodowienie wielkiego przemysłu i reformę rolną oraz aprobaty granicy na Odrze i Nysie. Reforma rolna już dobiegła końca, a wielki przemysł w wyniku przemian czasu wojny faktycznie miał status poniemieckiego. Wydawało się zatem, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie głosować przeciw tym już dokonanym reformom, a tym bardziej przeciw granicy zachodniej. Decydenci PPR byli pewni wyniku referendum, nie przewidywali potrzeby jego fałszowania i tego nie planowali ani nie szykowali. Niepokobili się jedynie o frekwencję i starali się ją wspomóc na różne sposoby, głównie transportem.

Również w obecnym referendum dobrano tak pytania, aby odpowiedź po myśli władzy dla większości nasuwała się sama przez się. Sprawdzone to w licznych sondażach. Pozostaje jedynie zadbać o frekwencję.

PiS liczy zresztą na to, że zgodność pytań z nastawieniem większości społeczeństwa sprzyjać będzie frekwencji i powiększeniu pisowskiego elektoratu.

...

W 1946 r. władze PPR srodze się zawiodły. Wyborcy licznie stawili się przy urnach (frekwencja była rekordowa – 84 proc.), ale głosowali, ignorując treść pytań. Kierowali się stosunkiem do

TEREFE
REFERE
NDUM...



Rys. WIDŁĘGET

politycznej rzeczywistości. Był to plebiscyt, kto za nową władzą, a kto przeciw. Po myśli PPR i jej zwolenników, czyli „tak” na wszystkie pytania, głosowała mniejszość. Większość głosowała albo dwa razy „nie”, albo trzy razy „nie”. Kiedy ujawniło się to w noc powyborczą, kierownictwo PPR wpadło w panikę i w pośpiechu nad ranem zdecydowało, by przerwać liczenie głosów (zdołano zakończyć liczenie w 70 proc. komisji obwodowych) pod fałszywym pretekstem zagrożenia bezpieczeństwa. Całą dokumentację z komisji obwodowych zabrała bezpieka z argumentacją, że w województwach dokończy się liczenie. W rzeczywistości niczego już nie liczono, kartki wyborcze zniszczono, a przy pomocy aktywu partyjnego napisano od nowa z danymi z sufitu jedynie protokoły wszystkich komisji obwodowych i te wyniki po kilku dniach ogłoszono. Tylko Kraków zdołał jeszcze przed decyzją o przerwaniu liczenia ogłosić swoje prawdziwe wyniki. Wyszło na to, że w całym kraju zdecydowana większość głosowała trzy razy „tak”, a jedynie w Krakowie wygrała reakcja. Sfałszowano to referendum nieudolnie, wyszły różne dziwolagi, na przykład w Poznańskim, najbardziej

lojalnym wobec nowej władzy, okazały się one znacznie gorsze niż w Białostockiem opanowanym przez podziemie zbrojne.

Przez 45 lat wyglądało na to, że prawdziwych wyników nie poznamy nigdy. Ale po upadku Polski Ludowej w trzymany pod kluczem notatkach Bolesława Bieruta odnaleziono dokładne meldunki województw o wynikach w miarę postępów liczenia, w odstępach godzinnych. Dane z tych 70 proc. zostały opublikowane w opracowaniu Andrzeja Paczkowskiego w 1993 r. Historycy przyjmują, że można je traktować jako miarodajny wynik referendum.

Spokojna analiza tego materiału prowadzi do wniosku, że referendum z 1946 r. zostało sfałszowane nie tylko nieudolnie, lecz także niepotrzebnie, wbrew interesom samej rządzącej PPR. Decyzja podjęta w panice była błędna. Referendum zostało wprawdzie przegrane, ale nie kompromitująco. Według wskazań PPR, czyli trzy razy „tak”, głosowało 26,9 proc. Dziś większość partii byłaby zachwycona takim wynikiem. Według wskazań Polskiego Stronnictwa Ludowego, legalnej partii opozycyjnej, czyli jeden raz „nie” i dwa razy „tak”, głosowało tylko 14,9 proc., a według wskazań WiN, czyli głównej

organizacji podziemia, dwa razy „nie” i jeden raz „tak” – 25,1 proc. Spontaniczna opozycja, głosująca trzy razy „nie”, zyskała aż 33,2 proc. We Wrocławiu repatrianci ze Lwowa w 50 proc. głosowali przeciw granicy na Odrze, czyli za trzecią wojną światową. Takie wyniki ogłoszone w lipcu 1946 r. wzbudziłyby w świecie demokratycznym sympatię dla obozu PPR, a za te lipne został on gremialnie potępiony. Głupota się zemściła.

...

Najbliższe referendum ma sporo szans na to, aby podobnie jak to z 1946 r. przekształciło się w plebiscyt. Głosujący kierować się będą nie merytoryczną treścią pytań, lecz wskazaniami partii, którą popierają. Przemawia za tym zarówno niezwykle spolaryzowana sytuacja polityczna w kraju, jak też sam charakter pytań. W każdym z nich zawiera się silnie wyrażony apel agitacyjny. Zostały tak dobrane i zredagowane, by wzywać głosującego do wyrażenia aprobaty i poparcia dla polityki Prawa i Sprawiedliwości. Zdumiewa historyczny i daleki już od rzeczywistości dobór tematyki pytań. W rzeczy samej wyprzedaż wielkich przedsięwzięcia miała miejsce przed 20 laty i już od dawna nie jest na agendzie spraw do decyzji. Podniesienie wieku emerytalnego też zostało uchylone przed ośmioma laty i opozycja nie proponuje powrotu do tej sprawy – uważa, że kiedyś wskrzesi ją samo życie, kiedy większość kobiet zostanie skonfrontowana z niskim poziomem emerytur. Nikt też nie proponuje likwidacji granicznej bariery na granicy z Białorusią. Nie toczy się również spór z władzami UE o przymusową relokację nielegalnych emigrantów. Idzie o solidarność z krajami narażonymi na przenikanie takich migrantów przez łatwą do sforsowania morską granicę (Grecja, Włochy, Hiszpania) rozwiązywanie ich problemu w zgodzie z prawem międzynarodowym. Apel o solidarność w tej kwestii jest uzasadniony tym, że presja emigrantów po części wynika z układu w Schengen, który powoduje, że migracja kierująca się do Niemiec i Skandynawii wybiera grecką lub włoską drogę. Można by ją skutecznie pohamować lub znacznie zmniejszyć, rezygnując z ruchu bezwizowego w UE. Tego oczywiście nikt nie chce, zatem trzeba wspierać kraje śródziemnomorskie w rozwiązywaniu problemu. Polska się z tego wyłamuje, uciekając się do kłamliwej argumentacji.

Autorzy takiej historycznej, a nie aktualnej tematyki referendum najwidoczniej spodziewają się, że ożywią i wykorzystają w wyborczej agitacji dawne emocje wokół niej. To bardzo wątpliwe – już starożytni Grecy zauważyli, że nie sposób wejść dwa razy do tej samej rzeki. Społeczeństwo dziś pasjonują inne kwestie: groźba wojny nuklearnej, inflacja, skutki epidemii i zapaść systemu opieki zdrowotnej. A ponadto opozycja nie zamierza ułatwić PiS-owi życia i wdać się w przebrzmiały spór historyczny. Odmawia dyskusji nad tak ujętymi pytaniami i wzywa do bojkotu referendum. Będzie zatem plebiscyt między zwolennikami kontynuacji rządów PiS i ich przeciwnikami. Jedni wezmą udział w referendum, drudzy je zbojkotują.

...

Ten plebiscyt opozycja może wygrać, jeśli tylko zdoła wyjaśnić swoim zwolennikom motywy tego bojkotu i skłonić ich do odpowiedniego trybu postępowania. To wymaga pracy. Aby referendum było ważne, musi wziąć w nim udział nie mniej niż 50 proc. uprawnionych. Żadne powojenne referendum poza tym z 1946 r. nie przekroczyło tej bariery.

Niewielki nawet bojkot ze strony opozycji wystarczy do pozbawienia tego referendum mocy wiążącej. Nadzieje na to, że zwolennicy referendum zwiększą w wyborach elektorat PiS, też mogą okazać się płonne.

Pewien wzrost propisowskiej frekwencji z tego tytułu może być zniwelowany odpowiednim wzrostem po stronie przeciwniej. Udział w referendach nie był dotychczas w III RP popularny – wszystkie miały niższą od wyborczej frekwencję, znacznie poniżej 50 proc.

Niestety, obowiązujące przepisy postępowania wyborczego ułatwiają ewentualne zafałszowanie frekwencji w referendum. Liczy się ona bowiem nie na podstawie podpisów na liście obecności potwierdzających odbiór kart, lecz na podstawie zliczenia kart znajdujących się w urnie po jej otwarciu. Ułatwi to ewentualne skryte dosypanie do urn kart referendalnych, aby zwiększyć pożądaną frekwencję. Niewypełnione karty pozostaną nieważne, ale do frekwencji się zaliczą. Byłoby to fałszerstwo łatwo wykrywalne i przez to bardzo ryzykowne, ale możliwe. Wymaga czujności ze strony opozycyjnych mężów zaufania w okręgach pisowskiej dominacji. Zanoszą się na to, że będą to wybory pełne napięcia. Wymagać będą wielkiej mobilizacji i aktywności ze strony całej opozycji. Nie zdobyła się ona na przeczność i nie wystawia poza senatem wszystkich list. Ma zatem trudniejsze zadanie, ale wciąż z szansą sukcesu.

M.Z.

WIARA CZYNI CZUBA

1. 18-letnia Nigeryjka znana pod pseudonimem Mary Olowe wystąpiła do sądu o zakaz zbliżania się dla ojca i braci, którzy grożą jej śmiercią, bo przeszła z islamu na katolicyzm. Sąd przyznał dziewczynie prawną ochronę: „Oskarżeni otrzymują niniejszym zakaz artykułowania gróźb i podejmowania zamachów na życie skarżącej w związku z jej decyzją o przejściu z wyznawania islamu na chrześcijaństwo, a także zakaz naruszania jej podstawowych praw, w tym do wyboru religii lub światopoglądu”. Można podejrzewać, że faceci, którzy chcą zamordować własną córkę i siostrę za to, że zmieniła swojego zmyślonego przyjaciela, nieszczególnie przejmą się sądowym zakazem, tym niemniej była to bardzo postępową decyzją, jeśli weźmie się pod uwagę, że w 12 stanach Nigerii obowiązuje prawo szariatu i jest ona domem Boko Haram.

2. W tej samej Nigerii policja o drugiej nad ranem dokonała najazdu na wesele w mieście Ekpan w stanie Delta. 67 osobom postawiono zarzuty „przeprowadza-

nia ceremonii ślubnej osobom tej samej płci i udziału w niej” – ogłosił z dumą rzecznik policji Bright Edeaf. Za homoseksualność w Nigerii grozi do 14 lat więzienia. „Początkowo aresztowano około 100 podejrzanych. Większość z nich była w kobiecych strojach. Zatrzymaliśmy też dwóch głównych podejrzanych, jednego przebranego za pannę młodą, a drugiego za pana młodego. Nadal prowadzimy dochodzenie i chcemy zapewnić Deltan i Nigeryjczyków, że podejrzani zostaną postawieni przed sądem najszybciej jak to możliwe. Informujemy o tym, żeby Nigeryjczycy wiedzieli, że jesteśmy w Afryce i nie możemy kopiować kultury zachodniej, ponieważ nie mamy tej samej struktury i tradycji” – oświadczył rzecznik Edeaf.

3. Katolicka diecezja z Denver pozywa władze stanu Kolorado za program przedszkolny, w ramach którego stan płaci za przedszkola dla trzy- i czteroletnich dzieci. Aby zakwalifikować się do programu, przedszkola nie mogą dyskryminować dzieci z powodu płci, koloru skóry, religii czy orientacji seksualnej rodziców. „Placówka katolicka nie może traktować pary tej samej płci jako rodziny równoważnej rodzinie naturalnej bez uszczerbku dla jej misji i katolickiej tożsamości” – stwierdza diecezja w pozwie, dodając, iż zakaz dyskryminacji szkodzi jej interesom, bo wolna od bigoterii konkurencja zyskuje niesprawiedliwą przewagę:

program „upośledza zdolność placówek katolickich do konkurowania z innymi przedszkolami, które mogą oferować bezpłatną edukację przedszkolną”. Inaczej mówiąc: diecezja chce mieć kasę i zachować cnotę. Klasyka.

4. Rząd Danii przedstawił projekt ustawy, która pod groźbą dwóch lat więzienia zakazuje palenia Koranu. Teoretycznie zakaz ma chronić także Biblię i Torę, a nawet szerzej: obejmować „niewłaściwe traktowanie przedmiotów mających istotne znaczenie religijne dla wspólnoty religijnej” – ale minister sprawiedliwości Peter Hummelgaard nie ukrywa, że chodzi głównie o uniknięcie awantur z Koranem, który został ostatnio kilkukrotnie spalony podczas ultrapravicowych demonstracji w Danii i Szwecji. Jak ogłosił minister, te „bezsensowne prowokacje”, mające „siac niezgodę i nienawiść”, zagrożają bezpieczeństwu narodowemu. Dania w 2017 r. wykryła z kodeksu karnego pochodzące z XVII w. kary za bluźnierstwo. Jak się okazuje, nie na długo. I kto powie, że terror nie działa?

5. W Birmingham powstaje Wieczna Ściana Wysłuchanych Modlitw: monumentalna konstrukcja złożona z miliona cegieł, z których każda reprezentuje modlitwę, o czym odwiedzający będą mogli się przekonać dzięki interaktywnej aplikacji: po zbliżeniu telefonu do wybranej cegły usłyszą, zobaczą lub przeczytają

konkretną modlitwę, którą reprezentuje dana cegła. Twórcą projektu jest mężczyzna o optymistycznym nazwisku Gamble (Hazard), któremu Bóg osobiście kazał zbudować miejsce narodowych pielgrzymek, choć „nie jest architektem, nie jest inżynierem, nie potrafi nawet powiesić pólek w domu”. Już po dziewięciu latach doszedł do wniosku, że pora przystąpić do dzieła, więc pomodlił się o kogoś, „kto zna się na budowaniu”, a także o kogoś, kto potrafi załatwić pozwolenie na budowę. Obie modlitwy zostały wysłuchane, więc teraz modli się już tylko o kasę.

6. Amerykańskie wydawnictwo Wniewobstąpienie wydało książkę zatytułowaną „Co zrobiłaby Monika?”. Chodzi o świętą Monikę: patronkę rodziców, których dzieci doznały oświecenia i porzuciły papizm dla zdrowego rozsądku. Autorki Patti Maguire Armstrong i Roxane Beauclair Salonen chcą „przynieść nadzieję i solidarność rodzicom oplakującym dzieci lub wnuki, które opuściły Kościół”. Św. Monika była bowiem matką św. Augustyna, który też nie rwał się do zostania świętym: zanim zrobił kanoniczną karierę, „wyjechał na nauki i wrócił w wieku 17 lat z konkubiną i nieślubnym synem, będąc wyznawcą religii New Age”. Dlatego „św. Monika uczy, jak radzić sobie z cierpieniem kochania dziecka, które wydaje się odrzucać życie w łasce”. Monika zaleca wytrwałą miłość i dużo modlitwy. Książka jest ponoć best-sellerem.

Pytania referendalne celowo sformułowano w ten sposób, aby nic nie znaczyły.

Jarek pyta, naród głupieje

Z niedorzecznego referendum PiS chce uczynić lejtmotyw swojej kampanii wyborczej. Wszyscy to omawiają od tygodni na różne sposoby. Przyglądamy się tematowi po raz kolejny i analizujemy sens zaprezentowanych przez naszą autorytarną władzę pytań do narodu. Wykazujemy, że dla żadnej przyszłej władzy wyniki tego błazeńskiego referendum nie będą wiążące.

1. Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?

Po pierwsze, słownictwo użyte w każdym z pytań nie oddaje istoty sprawy. Wyprzedaż bowiem nie jest synonimem prywatyzacji, lecz sprzedażą po zaniżonej cenie. Nie ma zaś w Polsce żadnego organu określającego, czy cena jest zaniżona. Wobec tego, nawet jeśli Sławomir Mentzen wygrałby wybory i postanowił sprywatyzować wodę i powietrze za symboliczną złotówkę, nie nazwałby tego wyprzedażą. Po drugie, nie określono, na czym polega „kontrola Polek i Polaków”. Każde przedsiębiorstwo, zarówno prywatne, jak i państwowe, jest zobowiązane działać w granicach prawa. To zaś stanowione jest przez demokratycznie wybrane władze. Zatem znów nawet Mentzen, prywatyzując powietrze, może obwieścić, że jest ono wciąż pod kontrolą Polaków, gdyż spółka, która je kupiła, działa w granicach prawa. Po trzecie, nie wiadomo, czym są strategiczne sektory gospodarki. Można domniemywać, że Polska Sieci Energetyczne są strategiczne, a Fabryka Cukierków Pszczółka już niekoniecznie, ale jest to wyłącznie kwestia interpretacji. Wobec powyższego bez względu na wynik referendum możliwa będzie prywatyzacja wszystkiego, jeśli przyszłe rządy tego zapragną.

2. Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?

Temu pytaniu zęby wybija odniesienie do reformy rządu PO-PSL. Bowiem referendum, jeśli będzie wiążące, zabroni jedynie podniesienia wieku emerytalnego do 67 lat, a zatem podniesienie do dowolnego innego poziomu, np. 66 lat i 11 miesięcy albo 100 lat, będzie legalne. Gdyby pytanie brzmiało: „Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego?”, sprzeciw obywateli mógłby mieć jakieś realne konsekwencje. Wszakże nie o prawa emerytalne tu chodzi, lecz o uderzenie w PO, a Morawiecki sam zobowiązał się w Unii Europejskiej do „wydłużenia okresu aktywności zawodowej” Polaków, czyli podniesienia realnego wieku emerytalnego w mniej lub bardziej zawołowanej formie.

3. Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?

W tym pytaniu mamy aż pięć bezpieczników pozwalających rządowi sprowadzać migrantów bez względu na zdanie obywateli. Po pierwsze, „tysiące” są określeniem nieprecyzyjnym. Nie wiadomo, czy chodzi o dwa tysiące, czy 200 tysięcy w skali godzin czy dekady. 1999 nielegalnych migrantów na godzinę oznaczałoby potężny kryzys migracyjny, ale rząd może wytłumaczyć, że póki nie przekroczył progu tysięcy, nie łamie ustaleń referendalnych, a nikt w referendum nie określił, w jakim przedziale czasowym mamy rozliczać owe tysiące. Po drugie, legalność bądź nielegalność migrantów jest kategorią urzędową. Nikt nie ma na czole napisane „nielegalny”, zatem wystarczy owych migrantów urzędowo zalegalizować. Po trzecie, kategoria „Bliski Wschód” jest nieprecyzyjna i istnieje przynajmniej kilka jej definicji. Zatem nie dość, że nielegalni migranci ze wszystkich stron świata z wyjątkiem Bliskiego Wschodu i Afryki będą w myśl referendum mile widziani, to jeszcze nikt nie wie, które kraje wchodzi w skład owego Bliskiego Wschodu. Po czwarte, określenie „przymusowy” i „narzucany” zakłada, że niezgodna z wolą ludu byłaby sytuacja, w której



mimo sprzeciwu władz RP organy unijne osiedliłyby w Polsce migrantów. Tym samym, wbrew teorii rządowych propagandystów, referendum nie chroni Polski przed złym Tuskiem, gdyż wystarczy zgoda ewentualnego rządu Tuska na ową relokację i przestaje być ona przymusowa. Po piąte, o relokacji nie decydują biurokraci (urzędnicy) europejscy, lecz politycy. Urzędnicy europejscy co najwyżej wdrażają mechanizmy uchwalone przez polityków. Zatem nawet jeśli do polski wjechałby opancerzony pociąg eskortowany przez Bundeswehrę wiozący 100 tys. migrantów z samego jądra czarnej Afryki, a w jego lokomotywie siedziałby dowodzący całą akcją Manfred Weber, nie byłoby to sprzeczne z decyzją podjętą w referendum, gdyż decyzję podjęliby unijni politycy (Weber), a nie biurokraci.

PiS-owi chodzi oczywiście o to, żeby nikt nie połączył wpuszczenia przez rząd Morawieckiego milionów Ukraińców i setek tysięcy imigrantów zarobkowych z całego świata z powyższym pytaniem referendalnym.

4. Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?

To pytanie, choć ma najwięcej sensu, znów kompromituje się użytym językiem. „Bariera” jest bowiem określeniem nieprecyzyjnym – oznacza m.in. naturalną przeszkodę (np. rzekę Bug na granicy polsko-białoruskiej) lub system cel. Najprecyzyjniejszym określeniem konstrukcji zbudowanej przez PiS byłby płot (technicznej definicji muru to coś nie spełnia). Wszakże ta nazwa została skutecznie obśmiana przez opozycję. Zatem bez względu na wynik referendum dowolny rząd może wyburzyć konstrukcję zbudowaną na granicy, usprawiedliwiając się tym, że przecież nie zasypał Bugu, więc (naturalna) bariera nie została zlikwidowana.

...

W referendum nie chodzi o zapytanie Polaków o zdanie lub zabezpieczenie kluczowych interesów przed ewentualnym przyszłym rządem opozycji, lecz

o zniechęcenie wyborców anty-PiS do udziału w głosowaniu. Albowiem wraz z organizacją referendum zniesiona zostanie tajność głosowania i apolityczność obwodowych komisji wyborczych (OKW). Stawiam dolary przeciw orzechom, że członkowie OKW popierający PiS będą wciskać wszystkie trzy karty (sejm, senat, referendum), a na prośbę o zabranie kartki referendalnej będą sugerować wrzucenie pustej kartki do urny i nie odnotują odmowy w spisie wyborców, chyba że na wyraźne żądanie. Z kolei antypisowscy członkowie komisji z wyraźną niechęcią będą wydawać karty referendalne i w euforii odnotowywać każdego, kto odmówił wzięcia udziału w referendum. Wyborcy, stojąc przed komisją, będzie musiał ujawnić swój stosunek do rządu (odbierając kartę referendalną bądź jej nie odbierając), a w skrajnych sytuacjach, gdy zwolennik opozycji trafi na pisowskiego członka komisji albo odwrotnie, nawet wyklócać się o swoje prawa.

Wyborcy opozycji są na góry straconej pozycji, albowiem o ile wzięcie kartki referendalnej nie wymaga żadnych dodatkowych starań ani tłumaczeń, o tyle niewzięcie wiąże się z żądaniem odnotowania tego w spisie obok własnego nazwiska. Ponadto wyborcy opozycji są z natury rzeczy bardziej wobec rządu nieufni, zatem z większą niechęcią będą ujawniać swe preferencje. Szczegrze wątpię, że rząd zrobi coś z wykazem kilku milionów swych politycznych przeciwników, ale

część wyborców opozycji po prostu nie weźmie udziału w tym cyrku i zostanie w domu. I o to PiS-owi chodzi.

MAREK SANOWSKI

JEBĄĆ WAS

PokoleNIE Z

Zapytaliśmy przedstawicieli pokolenia Z, jakie pytania oni zadaliby w referendum. Ano takie:

1. Czy popierasz legalizację aborcji na życzenie kobiety do 12. tygodnia ciąży?
2. Czy popierasz legalizację marihuany?
3. Czy popierasz likwidację lekcji religii w szkołach?
4. Czy popierasz równość małżeńską (zalegalizowanie małżeństw jedнопłciowych)?
5. Czy popierasz wprowadzenie maksymalnej opłaty za najem mieszkania, uzależnionej od płacy minimalnej, oraz wprowadzenie podatku od pustostanów?
6. Czy popierasz zakaz bezpłatnych staży?
7. Czy popierasz zobowiązanie państwa do wypłacania z urzędu odszkodowań w przypadku niezrealizowania świadczeń zapisanych w konstytucji (m.in. dostępu do opieki zdrowotnej)?
8. Czy popierasz zobowiązanie państwa do zapewnienia każdemu obywatelowi dostępu do transportu publicznego?

Młódz jest jednak przekonana, że politycy którejkolwiek ze stron nie przeprowadzą takiego referendum, gdyż:

1. wytrąciłoby to im tematy zastępcze, wokół których toczą awantury w każdej kampanii wyborczej, i musieliby zająć się czymś poważnym (pytania 1–4).
2. zobligowałoby się do czegoś, tymczasem od 1989 r. widzimy, że państwo zrzuca z siebie kolejne zobowiązania, a nie je zaciąga (pytania 7–8). Wobec powyższego większość przychyliła się do poniższego stanowiska, sformułowanego przez ich rówieśnika – 21-letniego studenta z Białegostoku: „Otóż uważam,

że referendum to gówno. Przede wszystkim nie przystaje do obecnego systemu politycznego. Współczesna demokracja jest w całości przedstawicielska i polega na tym, że z obywateli zdejmowany jest ciężar decydowania. Społeczeństwo wybiera reprezentantów, którzy przynajmniej w teorii mają być kompetentni. Tymczasem pojawia się jakaś instytucja, która temu przeczy i zmusza ludzi do myślenia i podjęcia wyboru. Największym zartem nie jest jednak idea, lecz forma referendum. W teorii referendum ma być po to, aby odczytać wolę ludu dotyczącą jakiejś decyzji politycznej, wyjątkowo znaczącej i trudnej. Politycy jednak wiedzą, że ludzie nie myślą, więc infantylizują pytania do granic możliwości. Skutkuje to tym, że złożoność świata sprowadza się do poziomu idiotycznej formułki, na którą tylko jedna odpowiedź jest poprawna. Tak jak wybory są karykaturą wyznaczania osób kompetentnych na stanowiska zarządcze, tak referendum jest karykaturą podejmowania decyzji. Służy to wyłącznie temu, żeby piewcy demokracji bezpośredniej (Kukiz) poparli rząd, zamknęli mordy i raz na jakiś (na ogół dość długi) czas mogli zwalić sobie konia do tego, jaka demokracja jest wspaniała. Pisowskiego tzw. referendum nawet nie komentuję, bo to farsa i naplucie resztki myślących obywateli w twarz. Zresztą to nawet nie jest referendum, tylko debilny, finansowany z publicznych pieniędzy państwowy pseudosondaż w skali makro”.

Hubert, Aldona, Barbara, Jan, Jakub, Maks, Ola i inni (20–22 lata)
red. MS

Wybory niełatwych wyborów.

Zostało 50 dni do wyborów. Nie wygląda, że będą łatwe. Ja tam nie wierzę w media rejestrowe, ponieważ teraz są media społecznościowe, jak np. YouTube (po polsku: Twoja Rura), które są miarodajnym zwierciadłem opinii prawdziwych. Z nich wynika, że jest do wyboru formacja, której twarzą, sercem i umysłem jest Donald Tusk, lub jej przeciwniczka – partia Jarosława Kaczyńskiego.

Szubrawcy

Zacznijmy od Tuska, który ma się następująco: „Personifikacja czystego zła. Tylko hołota ruska popiera Tuska. Premier polskiej biedy i wysokiego bezrobocia, wyjechał za pracę do Brukseli. Przygarnia szumowiny, donosicieli, kapusiów, chorych psychicznie, pajaców, mendi, tęczowych aktywistów, esbeków, więźniów, kombinatorów. Życie opiera na kłamstwie, podkładaniu kłód rodakom. Ma krew na rękach. Nie! – dla chęznego ruja! Stary dureń i lump, szwab kłamiwy! PO.jeb! Bandyta. Narkoman. Folksdojcz. Pacholek Merkelowej. Tusk, masz wytarte czoło, bo żona daje ci jeść z wiadra”.

W konkurencji do Donalda jest „karakan, który każdego dnia niszczy ten kraj. Agent Moskwy. Tajny współpracownik »Balbina«. Frajer. Złodziej. Pasożyt. Szkodnik. Prostack. Żaloszny klaun z partii cynicznych kłamców. Słowa uciekają jego myślom. Głupi – beczelny czy cham? Bystry jak woda w pisuarze. Dorobił się jedynie łupieżu i wieku emerytalnego. Pan, za przeproszeniem, K. Psychopata z Żoliborza. Kwaczor. Won na emeryturę”.

Nie jest to całe dossier kandydatów. Wybrałem tylko wady ujawniane przez internautów w komentarzach pod filmami na Twojej Rurze z ostatnich dwóch tygodni. Zapewne są modyfikowane, znaczy cenzurowane. Administratorzy usunęli co drastyczniejsze treści. Więc wybór jest trudny: folksdojcz czy psychopata? Złodziej czy lump?

Prawdy wiary

Ale nie żartujmy. Cytaty, z których powstały powyższe biogramy, bogate są w opinie i ubogie w fakty. Zapewne nie jest tak, że większość komentarzy w podobnym tonie zamieszczana jest przez płatnych pyskaczy zwanych trollami. Raczej są to spontaniczne wypowiedzi posłuszne zasadzie: jak chwała, mogą kłamać, jak krytykują i gania, to zawsze prawdziwie.

Takie są prawdziwe opinie o obu politykach, którzy aspirują do rządzenia krajem. Nie są to prawdy w sensie obiektywnym, ale są to prawdy w sensie psychicznym. To są fakty psychiczne. Skoro jeden uważa, że Chrystus zmartwychwstał, inny w tym samym stopniu jest przekonany, że Kaczyński to agent Moskwy.

Jest to również prawda o umysłowości ogromnej większości Polaków. Przynajmniej tych, którzy na tyle interesują się polityką, że będą głosować (jakieś 15 mln). Jest to opinia o nas samych nawzajem.

Cyniczni kłamcy versus ruska hołota. Hitlerowcy nie mieli o nas aż tak złego zdania. Oczywiście uważali nas za podludzi, co powyższym potwierdzamy, ale polska świnią to wszystko, na co było ich stać. Nie dorastają nam do pięt w dyskredytowaniu naszości.

Widzisz człowieka na ulicy i nie wiesz, do której diaspory należy, ponieważ tu nie można mówić o zwolennikach i racjonalnym podziale choćby w rozumieniu politologicznym (prawo, lewo). Mamy do czynienia z wyznawcami.

Wina Tuska pije Kaczor

Sztuka szczucia

I to jest zjawisko nowe, choć narastające od 10 lat. W czasach regulowanych mediów żadne z przywołanych określeń nie mogłoby się pojawić w przestrzeni publicznej, ponieważ redakcje nie wyszłyby z sądów. Dzisiejsza cybernetyczna wolność słowa, oznaczająca, że każdy może sobie powiedzieć, kto mu się nie podoba, nie uzasadniając w żaden sposób dlaczego, mając się każdej obelgi, potwarzy, pomówienia, spowodowała, że jesteśmy społeczeństwem nienawistników. Podzielonym na dwa zojdyzowane wzajemnie kłamstwami plemiona.

Za epidemię społeczną nienawiści, która ma nie tylko wymiar kulturowy, ale i biologiczny – bowiem negatywne emocje wpływają na stan naszego zdrowia, długość i komfort życia – odpowiedzialnych jest wielu ludzi nieznanymi z imienia i nazwiska. Sprawstwo kierownicze obciąża jednak dwie osoby, a może

trzy. Jarosława Kaczyńskiego, Jacka Kurskiego oraz... Donalda Tuska.

Podjudzające czyste krwi

Na świecie zawsze istniała klasa ludzi, którzy niczego pożytecznego nie robili, ale zajmowali w hierarchii naszego gatunku stanowiska, które według nich uprawniały do narzucania swojej woli innym. Manipulowania w jednym celu. Osobistej ekspansji i coraz większego poczucia mocy. Najpierw chodziło o ziemię, potem o bogactwa naturalne. W końcu o zwykłe panowanie nad coraz większą rzeszą poddanych. Przez wieki prężni ludzie uznawali to za boski porządek. Dopiero od XVIII w. zaczęto podrywać socjopatom gardła. Nie musimy się umawiać, ponieważ prawda jest taka, że car Mikołaj II, który wraz z rodziną został rozstrzelany na rozkaz Lenina, był głupcem i kanalią. Dzisiaj zamknięto by go w więzieniu, ale w tamtych ordynarnych czasach, kiedy mordowało się z byle powodu, gniew ludu przybrał formę nieco bardziej drastyczną.

W końcu rasiści z tak zwanej klasy politycznej – gatunku samego siebie uważającego za nadludzi, Sarmatów i eksceleńce krwi błękitnej – również dostrzegli, że rządzenie w oparciu o przemoc i destrukcję jest nieopłacalne oraz niebezpieczne. Bezpowrotnych strat nie da się obrócić w realne zyski. Zamiast wysyłać ludzi, aby naciskali na spusty, strzelając do siebie, ten sam efekt można przecież uzyskać, dając im kartki papieru, na których zakreślają krzyżyk przy nazwisku swojego władcy. A potem won do roboty płacić nadczłowiekowi podatki, które on wyda według swojego uznania na kochanki, konie lub zapłaci podczłowieczeństwu, aby wybudowało sobie żłobek, most lub przystanek autobusowy. Zmieniły się zasady. Aby zmusić poddanych do właściwego skreślenia, trzeba innych argumentów niż wtedy, kiedy nakłaniało się ich do zabójstw.

Od Kaczora do upiора

Wyobrażenie, że ludzie idą po władzę, aby służyć, to nadal naiwność pięknoduchów z kół młodych demokratów. Po władzę idzie się dla siebie i często wyłącznie dla samej władzy.

CENTRUM

W imię mocy, a nawet, jak się zapewne Kaczyńskiemu zdaje, zbliżenia do stwórcy.

Przez dziesięciolecia Jarosław Kaczyński wraz z bratem wykazywali się niejaką nieudolnością w przekonywaniu do swoich pomysłów na Polskę. Były nieostre, mdłe, ambiwalentne, trudne dla większości do zrozumienia. Filozofia umiarkowania, która podpieraa Porozumienie Centrum (już z nazwy wynika, że chodziło o jakiś środek i harmonię), na Polaków nie działała. Koncepcja porozumienia i koalicji przy niezgodności Kaczyńskiego do kompromisu, wynikłej jednak z zaburzeń osobowościowych (w sensie psychicznym tak by to oceniono), zawiadła. Kaczyński sięgnął po środki, których nie odważyłby się dobyć

okładkowej twarzy Tuska tygodnik „Wprost” wydrukował: „Nie ma nawet z kim przegrać”.

Bóg go opuścił

Wobec pierwszej tragedii i drugiej potwarzy Kaczyński miał prawo przestać ufać Bogu. Wszechmocny bardzo go rozczarował, a zły zawsze w takich sytuacjach służy pomocą. On nigdy ludzi nie opuszcza. Prawda, przyzwoitość, zdrowy rozsądek, wartości etyczne wyniesione z Kościoła i Solidarności przestały mieć dla Jarka jakiegokolwiek znaczenie. Z kłamstwa można czerpać liczne korzyści, a jego skutki i tak odciążają anonimowe społeczeństwo. I to jest taktyka wprost od Jacka Kurskiego, dla którego wszystko, co złe, jest dobre. Jak parkuje samochód, to na trawniku. W imię satysfakcjonującego życia seksualnego wolno mu nawet oszukać sąd biskupi.

Cztery lata później okazało się, jak bardzo Donald Tusk się mylił, a jak bardzo Jarosław Kaczyński miał rację. No i Kurski w nagrodę za odwagę, z jaką przeciwstawiał się wszelkim zapisom katechizmu, został prezesem TVP. Należało mu się. Napluć Chrystusowi – którego Kurscy wyznają – w twarz to jest jednak rodzaj bohaterstwa. Mefistofeliczny rozum prezesa Kurskiego wdarł się dźwiękiem i obrazem do każdego domu via telewizyjny głośnik i ekran.

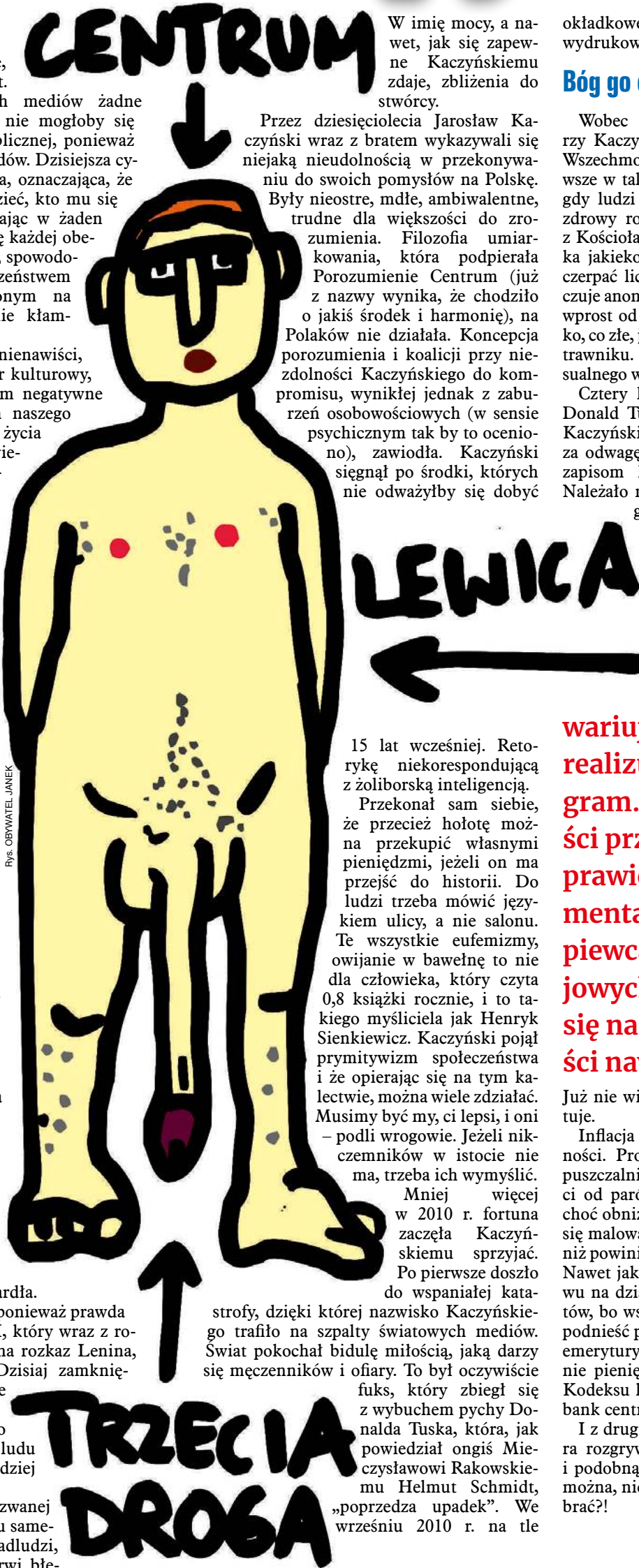
I mamy chaos poglądowy. Wszyscy wariują. Prawicowy PiS realizuje lewicowy program. Lewicowe osobistości przechodzą do obozu prawicy. Katolicyści stają się nagle piewcami swobód obywatelskich. Kosmopolici stają się narodowcami, a pacyfiści nawołują do wojny.

Już nie wiadomo, kto co sobą i kogo reprezentuje.

Inflacja demoralizuje przy okazji każdej płacności. Producenci farby dolewają więcej rozpuszczalnika, aby cena nie wzrosła, ale przecież ci od parówek też oszukiwali. Podnieśli ceny, choć obniżyli wagę opakowania. Tą farbą nie da się malować. Most zardzewieje 10 lat wcześniej, niż powinien, ale to już nie będzie nasz problem. Nawet jak cena benzyny nie ma żadnego wpływu na działalność, to możemy zedrzeć z klientów, bo wszyscy tak robią. Dlaczego nie można podnieść płacy za tę samą robotę? Na czternaste emerytury też nikt nie zapracował. Fałszowanie pieniędzy to jest zbrodnia (w rozumieniu Kodeksu karnego), ale nie wtedy, kiedy robi to bank centralny.

I z drugiej strony mamy formację Tuska, która rozgrywać zaczęła tymi samymi metodami i podobną socjotechniką. No bo skoro tamtym można, nic innego nam nie pozostaje. Kogo wybrać?!

ROBERT JARUGA



rys. OBYWATEL JANEK

REKLAMA

BOŻENA PRZYŁUSKA
ZE STRAJKU KOBIET DO SEJMU

PROF. PAULINA KRAMARZ
ŻYWNÓŚĆ – PRZEMYSŁ
DLA MOŁOCHÓW

OPUS DEI NA WYLOCIE

JAKUB SZELA
– FAKTY I LEGENDY

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

NIEODROBIONA LEKCJA
WRZEŚNIA '39

SILNI ZWARCI GOTOWI

Po wybuchu wojny w Ukrainie wzmożenie patriotyczne w polskich mediach skutecznie odcięło Polaków od dostępu do wiadomości, które nie zgadzają się z przewodnią linią partii (wszystkich) i rządu. To swoiste rozumienie wolności i demokracji, o którą podobno – także w naszym imieniu – walczy Ukraina. Cenzura w Polsce jest szczególnie szczelna: gazety takie jak „Washington Post” czy „New York Times” na wyścigi publikują przecieki CIA dotyczące fatalnego stanu ukraińskiej armii. Brytyjski „Guardian” niemal cyklicznie drukuje reportaże o Ukraińcach, którzy nie chcą iść na wojnę, i korupcji w ukraińskiej armii. „Deutsche Welle” zastanawia się, jak daleko sięga prawo Ukrainy do samoobrony w świetle prawa międzynarodowego. Media europejskie wprost mówią, że czas na plan pokojowy. Tymczasem „Gazeta Wyborcza” raczy swych czytelników kolejnymi odcinkami „śledztwa” mającego zdemaskować ruskie onuce w Polsce, a wszystkie telewizje pieją z zachwyty, gdy ukraińska armia wyzwoli pół hektara pola kapusty. W tygodniku „NIE” szanujemy mądrość naszych Czytelników i zamiast poddawać ich monotonnej propagandzie, oferujemy im rzetelne informacje, żeby mogli sami wyrobić sobie zdanie. W kolejnych numerach będziemy podawać kolejne fakty na temat wojny w Ukrainie przemilczane przez pozostałych. Czytelników zachęcamy do przesyłania nam ciekawych informacji i swoich opinii na adres: ukraina.tygodniknie@gmail.com.

REDAKCJA

Tego nie powie ci mama ani „Gazeta Wyborcza”.

Ukraińcy, no weźcie gińcie!

Amerykański wywiad przewiduje, że ukraińska kontrofensywa nie przyniesie zakładanego celu: zdobycia Melitopola, który jest bramą na Krym – doniósł ostatnio „Washington Post”, powołując się oczywiście na anonimowych informatorów, którzy widzieli tajne raporty. Odbicie Melitopola jest kluczowe, bo mogłoby pozwolić ukraińskim siłom na opanowanie mostu Krymskiego, przez który Rosja transportuje żołnierzy i sprzęt na front. Chcący zachować anonimowość rozmówcy dziennika nieszczerze kryją irytację. Ukraina „poniosła poważne straty pomimo posiadania szeregu nowo nabytych zachodnich urządzeń, w tym amerykańskich pojazdów bojowych Bradley, niemieckich czołgów Leopard 2 i specjalistycznych pojazdów do usuwania min” – zauważają, dodając mniej więcej wprost, iż niepowodzenie kontrofensywy, mimo „wartych dziesiątki miliardów dolarów dostaw zachodniej broni i sprzętu wojskowego”, to wina Ukraińców, którzy nie dość skwapliwie giną.

Zakładano, że Kijów zaakceptuje straty

Warto zwrócić uwagę na ten ton: amerykańskie elity są wyraźnie zniecierpliwione wzrastającym przywiązaniem dowództwa ukraińskiego do życia swoich żołnierzy. Jak donosi dziennik, „wspólne gry wojenne sił amerykańskich, brytyjskich i ukraińskich przewidywały takie straty, ale zakładano, że Kijów je zaakceptuje jako koszt przerwania głównej linii obrony Rosji – mówią amerykańscy i zachodni urzędnicy”. Dodaje karcąco, że zamiast tego Kijów „postanowił ograniczyć straty na polu bitwy, przejść na taktykę opartą na mniejszych jednostkach i posuwać się do przodu na wyrwykowych odcinkach frontu”.

Podobny ton pojawia się w artykule „New York Timesa” zatytułowanym ponuro: „Blisko 500 tysięcy zabitych i rannych na wojnie ukraińskiej – oceniają amerykańscy urzędnicy”.

„NYT” donosi: „Amerykańscy urzędnicy martwią się, że nowa strategia Ukrainy spowoduje błyskawiczne zużycie cennych dostaw amunicji, co może przynieść korzyści prezydentowi Władimirowi Putinowi i osłabić Ukrainę w tej wojnie na wyczerpanie. Jednak ukraińscy dowódcy zdecydowali się na minimalizowanie liczby ofiar i oszczędzanie frontowych sił bojowych”. Rozmówcy „NYT” podejrzewają Ukrainę o postawę „niechęci do strat w ludziach”.

Syndrom worków na zwłoki

To ostatnie to bardzo – wybaczenie – nieporadne tłumaczenie terminu, który w istocie rzeczy przetłumaczyć się nie da. „Casualty aversion” jest parafrazą terminu „risk aversion”, co oznacza niechęć do podejmowania ryzyka, na przykład w ramach strategii inwestycyjnej. To postawa w Ameryce ciesząca się powszechną pogardą. Brytyjska badaczka konfliktów zbrojnych prof. Susan Caruthers pisze o zjawisku „casualty aversion” w ten sposób: „Lęk przed wywołaniem niepopularnej wojny to widmo, które straszy amerykańskie elity polityczne, odkąd wojska USA opuściły Wietnam w 1973 r. W ciągu ostatnich czterech dekad

obserwowano mnogość wysiłków mających na celu uchwycenie tego, co diagnostycy uważają za słabość amerykańskiej klasy politycznej. Stan ten jest różnie opisywany, jako »awersja do ponoszenia ofiar«, »fobia«, »nieśmiałość« czy »wrażliwość«, lub patologizowany poprzez termin »syndrom«: »syndrom wietnamski«, »syndrom somalijski«, »syndrom worków na zwłoki«...”

„New York Times” – albo przynajmniej jego informatorzy – przypisują taki syndrom Ukrainie, co budzi ich wyraźne niezadowolenie: „Amerykańscy urzędnicy mówią, że obawiają się, że Ukraina stała się niechętna stratom w ludziach, co jest jednym z powodów, dla których ostrożnie podchodzi do kontrofensywy. Prawie każde duże uderzenie na okopane rosyjskie siły, chronione przez pola minowe, spowodowałoby ogromną liczbę strat w ludziach”...

Urzędnicy prywatnie wyrażają frustrację

Nie jest to zresztą pierwszy tekst „NYT” utrzymany w podobnym tonie. W lipcu w artykule zatytułowanym „Amerykańska amunicja kasetowa dociera na Ukrainę, ale jej wpływ na pole bitwy pozostaje niejasny” dziennik cytuje anonimowych „wyższych urzędników”, którzy „prywatnie wyrażają frustrację, że niektórzy ukraińscy dowódcy, zniechęceni powolnym tempem pierwszego uderzenia, obawiając się wzrostu liczby ofiar w swoich szeregach, powrócili do starych nawyków wystających z dziesięcioleci szkolenia z ostrzałów artyleryjskich w stylu sowieckim, zamiast trzymać się zachodniej taktyki i napierać mocniej, by złamać rosyjską obronę”.

Podobna dezaprobatą pojawia się w innych opiniotwórczych amerykańskich tytułach. „Wall Street Journal” w tekście zatytułowanym „Ukraińskie braki w uzbrojeniu i szkoleniu grożą patternem w walce z Rosją” donosił:

„Zachodni wojskowi wiedzieli, że Kijów nie miał wystarczającego szkolenia i uzbrojenia potrzebnego do odepchnięcia sił rosyjskich, ale mieli nadzieję, że ukraińska odwaga i zaradność przyniosą zwycięstwo. Nie przyniosły”.

W tym samym tekście „WSJ” przyznaje, że USA nigdy nie podjęłyby się walki, do której pchnęłyby Ukraińców: „Ameryka nigdy nie próbowałaby przełamać przygotowanych do obrony sił wroga bez przewagi w powietrzu” – mówi John Nagl, emerytowany pułkownik armii amerykańskiej, wykładowca studiów bojowych w US Army War College. „Nie sposób przecenić, jak ważna jest przewaga powietrzna dla ograniczenia ofiar w ludziach podczas operacji naziemnej” – dodaje.

Lato triumfu (chyba, że dla Ukraińców)

O tym, co tak naprawdę dzieje się w Ukrainie – i dlaczego – w przypływie niespodziewanej szczerości pisze w „Washington Post” patriotyczny publicysta i autor powieści szpiegowskich David Ignatius w tekście o cokolwiek niepokojącym tytule „Zachód czuje się przygnębiony z powodu Ukrainy. Oto, dlaczego nie powinien”.

Oto dlaczego: „Dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników z NATO te 18 miesięcy wojny były strategicznym zyskiem przy stosunkowo niskich kosztach (chyba że dla Ukraińców). Najbardziej nieprzewidywalny antagonistą Zachodu się chwije. NATO stało się znacznie silniejsze dzięki rozszerzeniu o Szwecję i Finlandię. Niemcy uwolniły się od zależności od rosyjskiej energii i poraz wieloma względami odkryły na nowo swoje moralne wartości. Sprzeczki wewnątrz NATO trafiają na pierwsze strony gazet, ale ogólnie rzecz biorąc, było to dla sojuszu lato triumfu”. Owo wtrącone od niechcenia zauważenie, że koszty były niskie – „chyba że dla Ukraińców” – oddaje w najwyższym stopniu moralność „kolektywnego Zachodu” i jego zaangażowanie w tę wojnę.

Ten poziom szczerości nie jest naturalnie obecny w jakichkolwiek polskich mediach. I to kolejna różnica między Stanami (gdzie o wojnie można dyskutować na różne sposoby) a Polską (gdzie patriotyczne wzmożenie wyrzuca poza nawias każdego, kto nie maszeruje w rytmie werbli bojowych). Amerykańskie media, także te głównego nurtu, coraz częściej zastanawiają się nad tym, czy dalsza wojna ma sens.

Być może przegapiliśmy...

Portal Politico w tekście zatytułowanym „Milley miał trochę racji” przypomina: „W listopadzie przewodniczący Połączonych Szefów Sztabów mówił, że dobra sytuacja militarna Ukrainy i nadchodząca zima dają w połączeniu asumpt, aby zastanowić się nad rozmowami pokojowymi. Dodał też, że operacja zmierzająca do wyzwolenia od sił rosyjskich całej Ukrainy – czego domaga się Wołodymyr Zełenski – ma niewielką szansę na sukces. Urzędnicy administracji natychmiast rzucili się zapewniać swoich partnerów w Kijowie, że Milley tak sobie spekuluje i nie odzwierciedla tajnych nastrojów, panujących w Białym Domu. Ale jak posłuchać tego, co Milley mówi ostatnio, w podtekście można usłyszeć: »A nie mówilem«”.

Politico cytuje też „jednego z urzędników, który nie chciał sprzeciwiać się oficjalnej narracji administracji Bidena, przedstawiając prawdziwy pogląd panujący w Białym Domu”. Urzędnik ten *off the record* przyznał: „Realia kontrofensywy zaczynają docierać do ludzi w Waszyngtonie. Taktyka Ukrainy na rzecz ochrony żołnierzy i sprzętu, okopane pozycje Rosji i walka na wielu frontach doprowadziły do powolnych postępów, odsuwając ewentualny przełom w daleką przyszłość”. Urzędnik dodaje z namysłem: „Być może przegapiliśmy okno, w którym należało naciskać na negocjacje pokojowe”, naturalnie okraszając tę refleksję rytualnym zapewnieniem, iż „USA nadal popierają walkę Ukrainy”. Ale inny – też oczywiście anonimowy – członek elity władzy USA mówi, że administracja coraz częściej zadaje sobie pytanie: „Jak już przyznamy, że nie będziemy robić tego wiecznie, to co wtedy zrobimy?”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ W wypadku lotniczym zginęli dowódcy Grupy Wagnera: Jewgienij Prigożyn i Dmitrij Utkin. Jedni twierdzą, że samolot został zestrzelony. Drudzy – że podłożono w nim bombę. Trzeci – że był to wypadek. Następni – że stoi za tym Putin. Kolejni – że odpowiada za to Szojgu. Inni – że samolot rozwalili Ukraińcy. Jeszcze inni – że Francuzi, którym Prigożyn zagrażał w Afryce, albo że to ustawka, a Prigożyn żyje. Wybierzcie, co Wam odpowiada.



★ Dania, Holandia i Norwegia obiecały wesprzeć ukraińską kontrofensywę, przekazując myśliwce F-16. Włączenie ich do służby planowane jest na wiosnę 2024 r. Ukraińska kontrofensywa coraz bardziej przypomina „trzydniową operację specjalną”.

★ Kandydat Koalicji Obywatelskiej do senatu w okręgu nr 14 (Puławy) generał brygady i pilot Jan Rajchel powiedział w TVN24, komentując przekazanie F-16 Ukrainie, że „panowanie w powietrzu jest niezbędnym elementem do tego, aby ofensywa na ziemi zakończyła się sukcesem”. Szkoda, że nie powiedział tego Ukraińcom przed rozpoczęciem kontrofensywy.

★ Minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński zażądał, aby członkowie Grupy Wagnera natychmiast opuścili Białoruś, a strefę przygraniczną (po stronie białoruskiej) nielegalni migranci. Ciekawe, co by powiedział Kamiński, gdyby jego białoruski odpowiednik gen. Iwan Kubrakow zażądał, aby Polskę opuściły wojska amerykańskie i rozebrano płot na granicy.

★ Gen. Christopher Cavoli z USA i dowódca armii brytyjskiej adm. Tony Radakin podobno przekonali Ukraińców do zmiany strategii i skupienia wszystkich sił na kierunku azowskim. Jak donosi „Dziennik Gazeta Prawna”, nowa strategia „natychmiast znalazła potwierdzenie na froncie. Od dnia spotkania [z brytyjskim i amerykańskim generałem] wojska ukraińskie posunęły się na południe na Zaporozu i zajęły ważne miasto – Robotyne”. To „ważne miasto” w rzeczywistości jest wsią, w której przed wojną mieszkało 500 osób, aczkolwiek niemal wszystkie przed atakiem Ukraińców zdążyły zwać w głąb Rosji.

★ Nowym ambasadorem RP w Kijowie ma zostać Jarosław Guzy. Jest to człowiek niezwykle kompetentny: zdobył wykształcenie ogólne w PRL, a zatem uczęszczał na lekcje powszechnie używanego na Ukrainie języka rosyjskiego; jego żona jest dyrektorką antyrosyjskiej telewizji Bielsat – kanału kierowanego do mieszkańców Białorusi, który jest niedostępny w białoruskich telewizorach; deklaruje, że w stanie wojennym jego kumplem z więziennej celi był Władysław Bartoszewski. Bartoszewski tego nie potwierdził, gdyż nie żyje, ale przecież pisowcy słyną z prawdomówności.

★ Z protestem uczestników spotkała się decyzja dyrekcji Międzynarodowego Konkursu im. Karola Szymanowskiego, która zakazała grania utworów rosyjskich kompozytorów, a konkretnie Rachmaninowa i Prokofiewa. Siergiej Rachmaninow uciekł z Rosji do Stanów Zjednoczonych przed bolszewikami. Z kolei Siergiej Prokofiew urodził się we wsi Sosnówka na dzisiejszej Ukrainie.

MAREK SANOWSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Wybrano nowych członków rady programowej Telewizji Polskiej. Jednym z nich został ks. Józef Kloch, były rzecznik Konferencji Episkopatu Polski. Czekamy z niecierpliwością, kiedy jakiś ksiądz zostanie prezesem Telewizji Polskiej.

✦ Mural z wyglądającym przez okno księdzem Janem Kaczkowskim został odsłonięty w Sopocie. Ks. Kaczkowski spędził w Sopocie większość życia. Był niezwykle porządnym człowiekiem. Wyciągał z biedy innych. Zajmował się ciężko chorymi. Otworzył dla nich hospicjum. Stąd był w ciągłym konflikcie ze swoimi przełożonymi w kurii. Zmarł na raka w wieku 38 lat. Ks. Kaczkowski stał się legendą za życia. Takich wielu w Kościele nie ma.

✦ Ks. Michał Woźnicki jest niemal cotygodniowym bohaterem tej rubryki. Odprawia msze dla grupy psychofanów i emituje je w internecie. Ostatnio się wypowiedział na temat lekkoatletki i olimpijki Ewy Swobody: „Ewa Swoboda, nie da się na ciebie patrzeć. Wyglądasz jak potwór”. Woźnickiemu chodziło o tatuaże sportsmenki. Ciągnął: „Co ona z siebie robi? Choinkę? Nie możesz ze sobą zrobić, co ci się podoba, bo jesteś świątynią Ducha Świętego!”. I jeszcze nazwał ją abazurem. Wiemy więc już, że ks. Woźnicki lubi oglądać zawody sportowe w telewizji. Poza tym po staremu – ciągle pozostaje szalony.

✦ Proboszcz parafii w Legnickim Polu (w woj. dolnośląskim) Włodzimierz G. usłyszał zarzut przywłaszczenia powierzonych mu pieniędzy, „stanowiących mienie wielkiej wartości”, i niegospodarności. Chodzi o – bagatela – 1,2 mln zł. Kasa miała iść na remont kościoła. Zdaniem prokuratury ksiądz przestał pieniądze zagranicznej firmie z przeznaczeniem na zakup bitcoinów. Grozi mu nawet 10 lat więzienia. Ksiądz przed sądem ogłosił jednak, że ma problemy psychiczne. Dostał więc skierowanie na badania. Na proboszcza doniosła kuria i zawiesiła go w sprawowaniu urzędu. Co ciekawe, parafianie domagają się jego powrotu, a od władz gminy dostał medal „Zasłużony dla Gminy Legnickie Pole”. To może proboszcza wybrać wójtem?

✦ Proboszcz parafii św. Bartłomieja w Łanach (województwo opolskie) zaprosił na kościelny festyn ministra z kancelarii premiera Michała Wójcika z partii Zbigniewa Ziobry. Polityk wystąpił na scenie, gdzie śpiewał m.in. piosenki z repertuaru Krzysztofa Krawczyka. Roman Smolarz, proboszcz parafii, uważa, że zapraszanie polityków na festyn nie ma nic wspólnego z polityką. A obecny rozgłos pomoże w budowie plebanii. To Wójcik nic nie da? Może jeszcze coś skapnie. Albo trzeba zaprosić samego Ziobrę.

✦ W parafii w Czerminie (województwo świętokrzyskie) zaplanowano mszę w intencji ojczyzny oraz błogosławieństwa bożego dla wiceministra finansów Sebastiana Skuzy i posła PiS Krzysztofa Lipca. Nie umieją najwyraźniej śpiewać, na festyn się nie nadają, to jakoś inaczej trzeba ich podpromować.

✦ Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu założona przez ojca Rydzyka prowadziła warsztaty dla młodzieży pod hasłem „Życie to... coś więcej!”. „Wielu młodych jest dziś zapatrzonych w ekrany komputerów, smartfonów czy tabletów, a także zafascynowanych życiem, które jest nieustannym czerpaniem korzyści, przyjemności. Zależy nam na tym, żeby pokazać im, że życie jest czymś więcej, iż życie to nie tylko pieniądze, zabawa, seks czy inna przyjemność, ale że życie ma sens” – reklamowali je zakonnicy redemptoryści, współpracownicy Rydzyka. Jednym z punktów warsztatów był wyjazd na poligon na zajęcia teoretyczne i praktyczne prowadzone żołnierzami Wojska Polskiego. Zamiast gapić się w smartfony, młodzież mogła sobie postrzelać z pistoletów i karabinów. Dla Jezusa. I Maryi.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

SYMETRYSTA



Rys. OBYWATEL JANEK

OBYWATEL JANEK

Czego nie wie ojciec Rydzyk

Bluźniercy, masoni i politycy.

„Masoneria to w Polsce raczej rekonstrukcja historyczna i kluby dyskusyjne” – napisał w tekście obok mój redakcyjny kolega Łukasz Piotrowicz. Przyznam, że jako wieloletni mason – a nawet przez kilka lat czcigodny loży Eugenia pod Ukoronowanym Lwem, działającej w Gdańsku i należącej do Wielkiej Loży Narodowej w Polsce (ha, przez jakiś czas spotkania loży odbywały w moim mieszkaniu w Gdańsku i sąsiedzi brali mnie na spytki, co u mnie robi rozpoznawalny polityk, prawnik i były wybitny sportowiec oraz reszta dostojnych panów zjawiających się w czarnych garniturach), potem przez jakiś czas członek loży Gwiazda Morza z Gdańska, należącej najpierw do Wielkiego Wschodu RP, a teraz wchodzącej w skład Wielkiego Wschodu Francji – przyjąłem te słowa ambiwalentnie. Z jednej strony ukłuły mnie w serduszku, w końcu przynależność do ruchu wolnomularskiego to wiele lat mojego życia. Z drugiej strony moje doświadczenie nie pozwala mi nie zgodzić się z kolegą. Łukasz Piotrowicz ma całkowitą rację: masoneria w Polsce to rekonstrukcja historyczna i kluby dyskusyjne. Ruch niewielki, bez żadnego wpływu na życie polityczne, społeczne, kulturowe, że aż przykro mówić. Odrodzenie masonerii w Polsce po 1989 r. się nie powiodło. Maso- nów aktywnych w lożach w obydwu obediencjach: Wielkiej Loży Narodowej Polski, czyli masonerii tzw. konserwatywnej, oraz Wielkim Wschodzie Polski, czyli masonerii tzw. liberalnej, jest raptem kilkuset. Być może ci z moich masonskich braci, którzy będą czytać te słowa, będą zżymać się na mnie, ale cóż... tak właśnie uważam. Nawet tatko Rydzyk z Torunia nie bardzo przejmuje się istnieniem masonerii w Polsce i nie poświęca jej żadnego miejsca ani na łamach „Naszego Dziennika”, ani w eterze Radia Maryja. Choć muszę zaznaczyć, że poznałem w masonerii kilku naprawdę wspaniałych ludzi, a z niektórymi łączy mnie wieloletnia przyjaźń.

Gdy kilkanaście lat temu zostałem zastępcą Jerzego Urbana w tygodniku „NIE”, zażartowałem, że może nie całą Polską, ale jej częścią poprzez tygodnik rządzi faktycznie Żydzi (Urban) oraz cykliści (Przemek Cwikliński jeździł wówczas samochodem marki Rover) i masoni (należałem wówczas do loży).

W tym tekście chcę jednak napisać o kilku sprawach, które będą przeczyły tezie wygłoszonej przez Łukasza, a potwierdzonej przeze mnie. Bo masoneria polska miała ambicje. Niestety z upływem lat zapal ten jakoś gasł, a część wybitnych masonów z racji wieku, absorbujących zajęć zawodowych i znużenia wykazywała coraz mniejsze zaangażowanie. Zainteresowanie społeczne masonerią w Polsce jest niewielkie – czy to ze względu na jej katolicko-nacjonalistyczny charakter, czy brak bazy, jaką w każdym społeczeństwie zachodnim jest klasa średnia, czy zbyt małą warstwę inteligencko-intelektualną.

Sprawy, o których napiszę, nie są tajemnicą, lecz szersza opinia publiczna wie o nich niewiele. Korzystam z własnej wiedzy, ale przede wszystkim z książki prof. Tadeusza Cegielskiego „Wolny mularz. Autoportret”, która ukazała się rok temu w niewielkim nakładzie 300 egzemplarzy w niewielkim prywatnym wydawnictwie i rozeszła się błyskawicznie wśród zainteresowanych. Prof. Cegielski to historyk, badacz dziejów i duchowości masonerii, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli wolnomularstwa w Polsce po II wojnie światowej. Był wielkim sekretarzem, a potem wielkim mistrzem Wielkiej Loży Narodowej Polski. Wie więc o polskiej masonerii najwięcej.

Jerzy Urban

Nie, Urban nie należał nigdy do masonerii. Czy mógł? I nie, i tak.

Nie, bo leżało to poza jego zainteresowaniami i charakterem (zresztą kiedyś, gdy powiedziałem mu, że sam należę do loży masonskiej, zupełnie go to nie zainteresowało i puścił to mimo uszu).

Tak, bo wywodził się ze środowiska, które po II wojnie światowej starało się zachować ciągłość tradycji wolnomularskiej w Polsce (masoneria działała prężnie podczas dwudziestolecia międzywojennego, skupiała wiele osób z polskiej elity intelektualnej i politycznej, ale została zdelegalizowana dekretem prezydenta Ignacego Mościckiego w 1938 r.). Urban należał do powstałego w 1956 r. prywatnego klubu politycznego o nazwie Klub Krzywego Koła, w którym grono ludzi nauki, pisarzy, dziennikarzy prowadziło swobodne dyskusje na najważniejsze aktualne tematy. To w tym klubie narodziła się idea odrodzenia wolnomularstwa polskiego i pomysł zainicjowania tajnej jeszcze w tamtych latach loży Kopernik. Weszły do niej tak znane i wybitne postacie jak Jan Józef Lipski, Władysław Bartoszewski, Edward Lipiński, Antoni Małachowski, Jan Olszewski i Antoni Słonimski.

Jan Olszewski

Nie jest tajemnicą, wspomina o tym wiele publikacji, że członkiem masonerii jeszcze od czasu powstania w PRL konspiracyjnej loży Kopernik – wciągnięty do wolnomularstwa przez swojego mentora i przyjaciela Jana Józefa Lipskiego (notabene przyjaciela Marii Kaczyńskiej, matki znanych bliźniaków) – był były premier Jan Olszewski. W latach 60. lewicujący członek Klubu Krzywego Koła oraz redakcji „Po Prostu” (gdzie spotykał się z Urbanem), w latach 1991–1992 premier prawicowego rządu znanego z uczynienia Antoniego Macierewicza ministrem spraw wewnętrznych i głoszący „nocy teczek”.

Olszewski, gdy zaangażował się na dobre w politykę i został premierem, uspił się w loży – jak to się mówi językiem wolnomularskim – czyli wycofał się z działalności. Musiało to dla niego wówczas być bardzo niewygodne.

Odnótować warto jednak pewną anegdotę, którą przytacza w swojej książce prof. Cegielski. Już jako premier Jan Olszewski odbywał rozmowy z prezesem włoskiego Fiata Giovanni Agnelli. Wiadomo było, że Agnelli jest masonem. Olszewski zwrócił się do Wielkiego Warsztatu WLNP o zezwolenie, aby w tych rozmowach mógł także występować jako mason pomimo swojego uspienia. Miało to ułatwić negocjacje gospodarcze. Zgodę dostał.

General Woodward

Gen. Robert W. Woodward był dowódcą sił NATO w Niemczech, inspektorem baz NATO w Europie, ale także masonem 33. stopnia.

Jesienią 2017 r. – jak opisuje w książce prof. Cegielski – gdy ważyły się losy przyjęcia Polski do NATO, a pewna grupa senatorów amerykańskiego Kongresu była temu przeciwna, ambasada RP w Waszyngtonie sporządziła ich listę. Lista przez rozmaitych pośredników trafiła w ręce Cegielskiego z sugestią, aby może poprzez swoje masonskie kontakty z Amerykanami próbować lobbować na rzecz Polski. Zaangażował się także ówczesny wielki mistrz WLNP prof. Janusz Maciejewski (światny historyk i teoretyk literatury polskiej). Zwrócono się do ówczesnego ministra spraw zagranicznych, a był nim Bronisław Geremek, o zgodę na takie działania. Miał powiedzieć: „Chcecie, to działajcie”.

Polscy masoni zwrócili się do znanego im gen. Woodwarta, świeżo przeniesionego w stan spoczynku z funkcji wojskowych. Obiecał pomóc. Na ile ta pomoc była istot-

na, trudno dzisiaj przesądzać, ale Woodward rozmawiał z opornymi senatorami, a wynik głosowania w Kongresie USA był, jak wiadomo, dla Polski korzystny. Co oznacza dla Polski nasza obecność w NATO dzisiaj, jest oczywistą oczywistością.

Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy

Powstała w 2001 r. loża Eugenia pod Ukoronowanym Lwem działająca – mówiąc wolnomularskim językiem – na Wschodzie Gdańska (w której zakładaniu brałem udział i należałem do niej przez prawie 20 lat) z inicjatywy jej pierwszego czcigodnego Zbyszka M. (nie wiem, czy mogę podać jego pełne nazwisko), człowieka niezwykle w ruch masonski zaangażowanego i niezwykle rzutkiego w działaniach, miała tworzyć pomost pomiędzy Polską a krajami wschodniej Europy. Na erygowaniu loży Eugenia pojawił się sam ówczesny wielki mistrz Wielkiej Loży Narodowej Rosji Georgij Dergaczow. Kilka miesięcy później loża Eugenia zorganizowała sympozjum z udziałem masonów z Rosji, Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy, Białorusi, Niemiec i Turcji. Zwłaszcza kontakty z Rosją zaczęły być w pewnym momencie intensywnie. Zbyszek i z jego zamysłu bracia z WLNP brali udział w powołaniu loży Pod Trzema Koronami w Kaliningradzie. Powstał też pomysł, aby z wydatną pomocą Wielkiej Loży Narodowej Rosji oraz Litwy i rzecz jasna Polski powołać w Mińsku Wielką Lożę Narodową Białorusi. Jednak wszystkie te podjęte koncepcje koniec końców upadły, a stosunki z Rosją ochłodziły i ustały.

Warto jednak wspomnieć, że w Warszawie w 2005 r. powstała białoruska loża Ivan Łuckiewicz. Po latach – w 2019 r. – udało się tą drogą utworzyć także lożę w Białorusi pod nosm dyktatora Łukaszenki. Została ona nawet zarejestrowana oficjalnie jako stowarzyszenie społeczne. Nie wzbudziło to w Białorusinach żadnych emocji. Loże działają, choć w końcu trafiły na listę organizacji, które Łukaszenka zamierza zlikwidować.

W związku z napływem do Polski najpierw wielu imigrantów zarobkowych, a teraz uchodźców z Ukrainy zastanawiam się, czy powstanie w Polsce wkrótce jakaś ukraińska loża masonska.

Przyznam, że o takich działaniach nic nie wiem, zresztą już od jakiegoś czasu moje kontakty z ruchem wolnomularskim ustały. Na samej Ukrainie masoneria jest obecna. W 2005 r. w Kijowie powstała Wielka Loża Ukrainy. Działa tam kilkanaście loż, ale z tego, co wiem, masoneria na Ukrainie jest liczebnie niewielka i nie bardzo wpływa. Nawet mniej niż masoneria polska.

Kwaśniewski i Miller, Komorowski i Duda

Jeden z nestorów i budowniczych struktur masonskich w Polsce (członek Wielkiego Wschodu Francji, potem Wielkiego Wschodu Polski, a w końcu założyciel i wielki mistrz Wielkiego Wschodu RP), nieżyjący już prof. Zbigniew Grabowski, człowiek niezwyklej kultury, inteligencji, życzliwości, w swoim czasie rektor Politechniki Warszawskiej, ale także jeden z ministrów w rządzie Mieczysława Rakowskiego, związany całe życie z lewicą, próbował w latach prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego i premierostwa Leszka Millera zainteresować obu polityków funkcjonowaniem masonerii. Jednak rozmowy te spęły na niczym. Żaden z nich nie był zaciekawiony.

Z kolei staraniem jednego z kolejnych wielkich mistrzów WLNP Aleksandra Kalinowskiego prezydent Bronisław Komorowski zaczął zapraszać przedstawicieli WLNP na obchody świąt 3 maja i 11 listopada. Mało tego, Kalinowski pojawiał się na oficjalnych uroczystościach odziany w masonski fartuszek. Po Komorowskim te zaproszenia kontynuował Andrzej Duda, ale po jakimś czasie zaprzestał.

Rzekłem, Czcigodni Czytelnicy.

WALDEMAR KUCHANNY

Bóg OPUSzcza swe Dzieło

Katolicka masoneria JP2 padła ofiarą Franciszka.

Papież Franciszek nie lubi konkurencji. Jezuita, który wykończył Opus Dei – to temat na kryminał Dana Browna. W białej sutannie i takich rękawiczkach Jorge Bergoglio pozbawił jedną z najbardziej znanych i tajemniczych zarazem kościelnych organizacji specjalnych względów i przywilejów, które nadał nie kto inny jak JP2.

...

Papież zmodyfikował brzmienie dwóch kano-nów „Kodeksu prawa kanonicznego”, czyli obowiązującego w Kościele kat. źródła prawa. Zmiana jest z pozoru błaha i porządkowa. Franciszek postanowił, że od tej pory nie będą istniały prałatury personalne. Nic to nikomu nie mówi. Są to takie instytucje realizujące pod przewodnictwem prałata swoje misje, powołania, charyzmaty i inne tyleż piękne, co bełkotliwe cele obrośnięte w teologiczne piórka. Czyli takie jakby dziecizy bez granic geograficznych, w których zrzeszają się podobni sobie dewoci. Tak się akurat składa, że jedyną istniejącą prałaturą personalną jest Opus Dei (łac. Dzieło Boże). Jako się rzekło, było to morderstwo w białych rękawiczkach. A w zasadzie gwóźdź do trumny, bo papież jezuita już w ubiegłym roku, przy okazji reformy kurii rzymskiej, zdecydował, że opusdeści nie będą mieli swojego biskupa, i pouczał, że potrzebna jest im „forma rządów oparta bardziej na charyzmacie niż na władzy hierarchicznej”. Słowem: obniżył ich prestiż i teraz stoją niewiele wyżej od kółka różańcowego parafii w Parzymiechach.

...

Był to cios w serce i poniżej pasa zarazem. Poczucie elitarności jest dla członków Opus Dei fundamentalne. „Ludzie są jak lampy. Zwykły człowiek jest jak zgaszona lampa, a członek Opus Dei jest jak lampa zapalona” – usłyszał kiedyś były już członek organizacji od starszego stażem. No to dostali od papieża w lampę. „Katolicki klub dla bogatych” albo – jak stwierdził pewien włoski mason – „potężna finansowa i biznesowa agenda Stolicy Apostolskiej [...] prawdziwa, wszechobecna i niezwykle silna tajna organizacja” została zgnojona. Zdaniem wspomnianego wolnomularza włoski wymiar sprawiedliwości „robi wszystko, żeby odwrócić uwagę od opusdeistów i skupić ją na masonach”. Konotacje z masonerią są nieprzypadkowe, bowiem Opus Dei w mediach i popkulturze występuje jako katolicki konserwatywny odpowiednik wolnomularstwa, następca jezuitów, którzy zesłali na psy tego świata i nie mają dawnej krzepy w walce o dusze ludzkie i w służbie papieżowi. Jezuita z Argentyny upokorzył ich w subtelny, acz bolesny sposób. Jezuita i opusdeści mają ze sobą na pieńku od zarania. Już w latach 40. XX w. hiszpański jezuita Angel Carrillo de Albornoz krytykował założenia raczkującej organizacji, a w 2023 r. Bergoglio wyprowadził ostateczny cios i śmieje się ostatni.

...

Opus Dei na piedestał wyniósł Wojtyła. Papież Polak w 1982 r. przyznał im zabrany teraz przez Franciszka status prałatury personalnej. Z hiszpańską organizacją połączyły JP2 nienawiść do komunizmu, przywiązanie do tzw. tradycyjnych wartości oraz dyskrecji i skuteczności w działaniu.

Poprzedni papież był nieco pouszczupiony w kontaktach z tą otoczoną dziwną aurą organizacją. Obcy w Watykanie Polak potrzebował własnej armii, aby rzymskie struktury uczynić podległymi sobie, a do tego opusdeści nadają się jak nikt inny. Mają pieniądze, wykształcenie, kontakty i prezentację, co stanowi niebagatelny walor w stolicy książąt Kościoła. „Jedyną organizacją kościelną całkowicie mi wierna jest Opus Dei” – chwalił się (i żalił) w 2001 r., a więc na ostatniej prostej pontyfikatu. Oznacza to, że od początku rządów „największego z Polaków” współpraca ta układała się znakomicie. Ukłonem w stronę Opus Dei była beatyfikacja i kanonizacja założyciela – ks. Josemarii Escrivy de Balaguera y Albasa. Polak wyniósł Hiszpana na ołtarze zaledwie 17 lat po jego śmierci, co nie jest specjalnie długim okresem oczekiwania na aureolę. Ale dobre relacje z zaufaną drużyną wymagały gestów i prezentów także ze strony papieża. Grupa Wagnera też za darmo nie robi.

...

Czym zatem jest Opus Dei i skąd czarna legenda tej organizacji? W deklaracjach i w papierach wszystko jest cacy: grupa dobrze wykształconych i zamożnych katolików mających propagować katolicyzm wśród elit oraz kształtować społeczeństwa i państwa na papistowską modłę. W większości



rys. TOMASZ WATER

są to ludzie świeccy i mały odsetek duchownych (2 proc. z ok. 90 tys. członków, w Polsce ok. 600). Choć nie składają żadnych wiążących według prawa kościelnego ślubów, zobowiązują się żyć surowiej niż większość księży i zakonników. Formacja i wszystko, co się dzieje wewnątrz Dzieła, są tajne. Ale jak wszystko, co objęte tajemnicą, także i sekrety Opus Dei wypływają na światło dzienne. Kulisy znamy choćby z opowieści byłych członków tego klubu, którzy – być może nieco czasem przejeżdżając z powodu doznanego zawodu – dają wgląd w tę niedostępną dla człowieka z ulicy rzeczywistość.

...

Obraz Opus Dei jako sekty w łonie Kościoła kat. ukazuje książka „Byłem w Opus Dei” Fran-cuza Brunona Devosa. Publikacja o tyle z naszej perspektywy cenna, że autor tuż przed maturą (w 1995 r.) został wysłany przez swoich przełożonych z Opus Dei do Polski, gdzie dopiero tworzyły się struktury, których członkowie mieli później sporo do powiedzenia w krajowej polityce. JP2 nie mógł zostawić swoich rodaków samych po upadku komuny, ktoś tu musiał pilnować watykańskiego interesu. Po szkołach partyjnych nadszedł czas na kościelne kuźnie kadr.

...

Devos w swojej książce opisuje, że Opus Dei to organizacja nastawiona przede wszystkim na zyski. Finansowe, polityczne, religijne. Standardem jest urabianie przyszłych członków od dziecka. Najlepsi są opusdeści w kolejnym pokoleniu, z mózgiem prany od chrztu świętego. Kuszenie atrakcyjnymi zajęciami, kursami i perspektywami pozwala lepić młode umysły na modłę zawartą w pismach ojca założyciela. Kandydatom na członka ciągle przypomina się o potrzebie hojności. Davos pisze, że dyrektor ośrodka, do którego uczęszczał jako dzieciak, „mówił, że Kościół potrzebuje wielu oddanych ludzi, by nawracać społeczeństwo, że niewielu poświęca się Bogu, że trzeba być hojnym i oddać mu wszystko, co się posiada. Kwestia hojności powracała we wszystkich naszych rozmowach”. Tę hojność okazuje się swoim prywatnym czasem, ale też pieniędzmi. Numerariusze – członkowie Opus Dei, którzy na stałe mieszkają w ośrodkach i zachowują celibat – nie mogą mieć własnych pieniędzy, choć każdy z nich pracuje zawodowo. Wszystko oddają na konto organizacji. W dodatku nie mogą zarabiać mało, bo jak ktoś mało zarabia, to znaczy że Pan Bóg mu nie błogosławi, członek nie ma powołania i won za burtę. Muszą zatem łączyć życie zakonni-ka i normalnego człowieka plus wykonywać prace werbunkowe dla organizacji za Bóg zapłać.

...

Plan dnia jest solidnie wypełniony: tak żeby raczej na wszystko nie wystarczyło czasu, niż żeby zostało go w nadmiarze tyle, że byłby moment na wątpliwości. „Masturbujesz się mentalnie! Inni masturbują się seksualnie, ty zaś masturbujesz się przy pomocy tych pytań. Przestań o tym myśleć” – usłyszał od księdza z Dzieła jeden z byłych członków, którego wspomnienia przytacza Devos. Dyscyplinowaniu siebie i własnych myśli

mają służyć umartwienia cielesne. Umartwianiu zaś służą specjalnie ku temu poświęcone tradycją przyrządy: kolczatka i (nomen omen) dyscyplina. Kolczatka to nie przypominający jeża ssak z Australii ani obroza dla psa, choć bliżej jej do tego drugiego. To drucziana opaska z kolcami wbijającymi się w skórę. Numerariusze mają obowiązek nosić ją dwie godziny dziennie na udzie (przynajmniej tak podaje Devos). Dyscyplina zaś służy do biczowania.

Według zakonnicy usługującej Wojtyłę Lolek z Wadowic też lubił sobie dzielić przez plery w ramach pokuty. Ta skłonność do religijnie motywowanych praktyk BDSM być może też połączyła go z Opus Dei. Członkowie bractwa muszą jednak ślady masochistycznych sesji z Jezusem starannie ukrywać, żeby nie prowokować głupich pytań.

No i żeby Opus Dei nie założono niebieskiej karty.

...

Gdyby komuś z was ten styl życia zaimponował i zechciał wstąpić w szeregi Opus Dei, ostrzegamy, że nie jest to takie hop-siup. Selekcja jest staranna, a kryteria jasne i bezlitosne. Najważniejsze jest kryterium przydatności. Bruno Devos wspomina swojej książce: „Pamiętam takiego studenta, który przyszedł do ośrodka na skutek reklamy nadanej w radiu. Miał dość uciążliwą chorobę: był bardzo otyły i ciągle się pocił. Nie był też geniuszem, więc w niczym nie przystawał do wizerunku, jakiemu hołduje Opus Dei. Skoro nie był »przydatny«, rada lokalna postanowiła, że trzeba się go pozbyć, choć nie można było tego zrobić otwarcie – należało użyć jego dobrowolną rezygnację. Dyrektor znalazł sposób: polecił komuś, aby prosić go o darowiznę za każdym razem, gdy pojawi się w ośrodku. Ten zabieg nie po raz pierwszy okazał się niezawodny”.

...

Opus Dei w polskiej polityce obecne jest nie od dziś. Podejrzanie o przynależność do Dzieła lub sympatyzowanie z nim to zarzut podobnego kalibru co członkostwo w masonerii, tylko w drugą stronę. Z tym że

o ile masoneria to w Polsce raczej rekonstrukcja historyczna i kluby dyskusyjne, o tyle Opus Dei rzeczywiście działa i kształtuje kolejnych fanatyków.

Jest w końcu organizacją stosunkowo młodą, niespełna stuletnią, pierwotny żar jeszcze się do końca nie wypalił. Autor „Byłem w Opus Dei” przyjechał

do Polski w 1995 r. Wspomina, że oprócz zwykłych praktyk werbunkowych, czyli organizowania atrakcyjnych zajęć dla młodych chłopców, „poproszono nas także o sporządzenie listy stu najbardziej wpływowych osób w Polsce. Mielśmy do nich dotrzeć i przekonać ich, żeby wstąpili do Opus Dei”.

...

W 2011 r., za rządów PO, Janusz Palikot z wyrzutem pytał Tuska, dlaczego trzyma w swoim rządzie trzech członków Opus Dei: Jarosława Gowina, Radosława Sikorskiego i Tomasza Arabskiego. Ówczesny rzecznik rządu Paweł Graś bagatelizował te zarzuty: „To z jednej strony prezes PiS zarzuca rządowi, że jest ukrytą lewicą, z drugiej – Janusz Palikot, że zasiadają w nim agenci Opus Dei czy Kościoła. To jest poziom, na którym ci obaj panowie mogą sobie dyskutować”. Ale sprawę podjęły mainstreamowe media, m.in. „Newsweek”. Pisały o związkach z tą szemraną fundamentalistyczną organizacją wspomnianych wyżej polityków oraz choćby Kazimierza Marcinkiewicza, którego gabinet miał być siedliskiem opusdeistów. Późniejsze życie osobiste „Kaza” raczej nie mieści się w normach moralnych Dzieła, ale wtedy uchodził za zdrową konserwę. O członkostwie w Opus Dei Romana Giertycha pisał z kolei w swojej książce o Dziele John L. Allen, jeden z najbardziej znanych speców od Kościoła kat. Allen ogłosił, że dzisiejszy koryfeusz opozycji jest supernumerariuszem, czyli opusdeistą żyjącym i pracującym w świecie, niezachowującym celibatu. Pytany o to mecenas odpowiedział wymijająco: „Wszyscy jesteśmy dziełem bożym, chyba że ktoś wierzy w ewolucję”. Ale to było w 2006 r. W 2023 r. wszyscy mamy wierzyć w ewolucję Giertycha.

...

W 2011 r., po wspomnianych publikacjach, Opus Dei żądało od „Newsweeka” sprostowania, jako że tygodnik miał pisać na jego temat bzdury. Opusdeści odnegali się od tego, że ślubują celibat, że prowadzą szkoły i że Opus Dei „jest tajemniczą elitarną organizacją katolicką”.

...

A co z wpływami Opus Dei w PiS? Co ciekawe, Jarosław Kaczyński podobno nie lubi tej organizacji. W sumie nic dziwnego, jeśli prawdą byłoby związki z Dziełem największych zdrajców i osobistych wrogów prezesa. Przejechał się na Opus Dei za pierwszych rządów. Giertych, Sikorski, Gowin – na sam dźwięk tych nazwisk prezes się wpienia. Poza tym Kaczyński lubi mieć pełną kontrolę nad swoimi podwładnymi, a Opus Dei to struktura, która realizuje własne cele i polecenia „kierowników duchowych” stoją wyżej od rozkazów szefa partii. Mafia nie chce mieć w swoich szeregach członków sekty – normalna rzecz. Stąd też Kaczor podobno alergicznie reaguje na opusdeistów orbitujących wokół PiS i szukających furtek do poważnych stanowisk. Ale Opus Dei tak łatwo nie odpuszcza.

Wiemy, że wśród najbliższych ludzi Ziobry (raz już zdrajcy i ciągle potencjalnego zdrajcy) jest przynajmniej jeden niekryjący się opusdeista. Numerariuszem Opus Dei jest wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski. Zwolennik kary śmierci, wróg gender. Gdy na portalu OKO.press zarzucono mu homofobię, w tygodniku „Do Rzeczy” stwierdził, że nie będzie się tłumaczył: „Z mojej przynależności do Dzieła tłumaczyć się nie mam zamiaru ani obowiązku – tłumaczyć się powinni ci, którzy atakują mnie, stygmatyzują i próbują wyszydzać tylko dlatego, że staram się w swoim życiu kierować katolicką doktryną moralną i etyką chrześcijańską. Opus Dei nigdy nie wpływało, nie wpływa i nie będzie wpływać na zawodowe czy polityczne decyzje swoich członków. Co więcej, zasady Dzieła wprost tego zabraniają”. Ta... A Jarosław Kaczyński jest roslým blondynem.

...

W 2017 r. „Rzeka” ustaliła, że na uczelni prowadzonej przez Opus Dei studiuje „60 kluczowych polskich urzędników, w tym dziesięciu wiceministrów”, wśród nich także tuż jak Patrik Jaki czy Jędrzej Emilewicz. Jaki tłumaczył: „Nasi wykładowcy to światowa elita. Prowadzili zajęcia dla menedżerów z największych światowych korporacji”. A biuro prasowe Ministerstwa Sprawiedliwości informowało, że „na zajęciach podkreślana jest wartość etyki w działaniu w administracji i biznesie, jednak nie ma to charakteru religijnego”. Nie wątpimy, że opusdeści sprawnie pozyskują pieniądze. Sęk w tym, że – jak wynika z przytoczonych wyżej wycieków ze środka organizacji – służą one jedynie Dziełu, a nie pojedynczym jego członkom, a tym bardziej państwu, którego są obywatelami.

...

W każdym razie papież Franciszek znowu prześladowa polskich katolików. Dziękujemy, ojcie święty!

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Przedwyborcza ściąga z polskiego rapu.

Tako rzeczce Taco

O tym, że polski rap to nie tylko tandetna gangsterka, seksizm, walki w klatce i buractwo, przekonałam się kilkanaście lat temu. Wtedy to nadzieją lewicy był Ruch Palikota łowiący wyborców antyklerykalizmem i legalizacją marihuany. Usłyszałam na zajęciach od jednego studenta i rapera u progu kariery ogólnopolskiej, że hiphopowcy nie zagłosują na Palikota, bo wspiera gejów.

Wtedy pewnie było to prawdą, ale czasy się zmieniają i nawet wśród rodzimych raperów można spotkać ludzi o poglądach mniej lub bardziej lewicowych, liberalnych, a przynajmniej – pierdolących rządzących. Kurwa, sama nie czuję, kiedy rymuję!

Przegląd zaczne od Taco Hemingwaya, jednego z najpopularniejszych obecnie raperów w kraju.

Michał Marszał na prezydenta!

Taco podkurwił szczerze polską prawicę, gdy zasugerował, aby Michał Marszał – admin socjal mediów „NIE” – został prezydentem Rzeczypospolitej w 2025 r. Taco doprowadza do wściekłości co bardziej pobożnych i prawych komentatorów, bo podkreśla, że jest patriotą, ale nie nacjonalistą. Kocha swój kraj, ale nienawidzi rasizmu.

Ślinotok obrzydzenia prawicowego ryszotaka spotkał go za kawałek „Polskie tango”, w którym deklamował, że „przestał w Polskę wierzyć dawno”, i ironizował, iż „najbardziej antypolska jest nagonka na węgiel”. Parodiował też znany wierszyk patriotyczny:

„Kto ty jesteś? Polak mały.
Jaki znak twój? Torba z białym.
Gdzie ty mieszkasz? Na strzeżonym.
W jakim kraju? Tym popierdolonym”.

Finał jest obrazoburczy jeszcze bardziej dla rozmodlonej prawicy: „Tak czy siak – Bóg z nami, chuj z wami. Trzy zdrowaśki, alleluja i do przodu – jazda z kurwami”.

Chuj ci w dziąsło!

Pod koniec sierpnia na koncercie Maty z tysięcy gardeł wznosił się okrzyk: „Jebać Telewizję Polską. Jacek Kurski, chuj ci w dziąsło!”. Ta muzyka dla naszych uszu pochodzi z refrenu „Patoreakcji”, ogromnego hitu syna antypisowskiego prawnika Marcina Matczaka. Skądinąd o swoim ojcu w tym kawałku stołeczny raper deklaruje, że „to święty człowiek”.

Nie rusza mnie, że Matę złapali z jakąś śladową ilością trawki (w szafie mam kilka razy więcej), bardziej że reklamuje bądziwne bary McDonalda i szuka frajerów (po tacie odziedziczył teb do biznesu?) – zwanych dla niepoznaki wolontariuszami – do darmowej pracy przy jego przynoszących krociowe zyski koncertach.

Ale też Mata jest przykładem tego, że pisowcy i ich media są głupi i robią sobie wrogów, gdzie tylko mogą. Co by im szkodziło przemilczeć gówniarskie gadki o tym, że nie można pić nad Wisłą, i tym podobne kawałki?

Od prostackiego, acz chwytliwego Maty wolę intelektualistę – skądinąd praktykującego prawnika – Łonę, wspólnie z Webberem nagrywającego przez lata utwory z interesującymi lirycznymi. Jego teksty, zresztą literacko nienaganne, zaprawione są ironią – czasem dobrotliwą, czasem ostrą jak brytywa. Weźmy choćby numer „Miej wątpliwość”:

„Jeden stoi z przodu i gniewem płonie,
Więc ty spijasz słowa z jego ust i chłonisz.
On ma modny krawat, pasuje jak ulał,
Problem w tym, że pod krawatem jest brunatna koszula.

A ty w tym tłumie ufającym bezdennie,
Choć fakt, wyglądasz znacznie lepiej ode mnie.

Czoła wprawdzie niskie, ale gładkie dość, bo
Dotychczas raczej nieskażone wątpliwością”.

Hiphopowcy wykleci

Polscy raperzy, często ludzie nasiąknięci brunatną propagandą sączącą się z mediów i szkół, nierzadko mają pierdolca na punkcie narodu, w tym tzw. żołnierzy wykletych. Doskonałym tego przykładem jest kawałek Kękę „Myśle o tym”, pisany z perspektywy dnia pamięci o wykletych (1 marca). Podmiot liryczny

tęskni do tego, aby „pobiec tropem wilczym”. I podkreśla wychowanie swoich dzieci w duchu walki z komuną:

„Rosną mi chłopaki, chcę, by każdy z nich pamiętał
pokazuję fakty – kto bohater, kto ubecja
W nowym życiu rzadko wzruszam się, lecz zawsze
Kiedy Kołakowski znów mi śpiewa o »Łupaszko«”.

Gwoli ścisłości, „Łupaszko”, czyli Zygmunt Szendzielarz, tak kochał Polskę, że jego oddział miał na sumieniu wymordowanie trzytyfrowej liczby cywilów w Dubinkach, których jedyną winą było to, że byli Litwinami. Ale to bez znaczenia, wszak „Łupaszko” walczył z komuną, a to jak karta kredytowa, którą można spłacić wszelkie zbrodnie.

Nie brak w rodzimym hip-hopie także odwołań do powstania warszawskiego – haniebnej hekatombi, wywołanej przez Polaków, która skutkowałą zrównaniem z ziemią stolicy i rzeszą ofiar, w zdecydowanej większości niewinnych i bezbronnych cywilów. Ale dla niektórych raperów, wychowanych chyba w Muzeum Powstania Warszawskiego – w którym trudno się dowiedzieć, że powstańcy sromotnie przegrali – liczy się romantyzm. Oto fragment tekstu „Sierpniowego nieba” Bilona, który to kawałek wykorzystano w kuriozalnym filmie „Sierpniowe niebo. 63 dni chwały”:

„To krew i łzy, cierpienia dla wolności
Ci piękni ludzie bez straty tożsamości.
Sierpniowe niebo w blasku promieni
To numer dla tych, którzy o tym zapomnieli”.

Wiecej sensu zdaje się mieć kawałek Slums Attack „Poznańczyk”, sławiący powstanie wielkopolskie, które – w odróżnieniu od wielu innych – było zwycięskie:

„Poznaniacy wolność wywalczyli.
W powstaniu tym myśmy zwyciężyli.
Wielkopolski ziemię obronili.
90 lat od tej pamiętnej chwili”.

Skądinąd podpora Slums Attack, języcki chuligan Peja, zyskał w social mediach największe lajków za foto na tle napisu na murze – „Ziobro, ty kurwo jebana”, a w czołówce było podobne zdjęcie z napisem – „Jebać was, pisowskie kurwy”.

Elgiebety jednak na propsie

A wracając do hiphopowca, mojego byłego studenta, dziś nie wszyscy raperzy są wrogami społeczności LGBT+. Wystarczy posłuchać Bedoesa, a konkretnie jego kawałka nagranych z Lankiem i Blu „Romantyczna rewolucja”. Bydgoski hiphopowiec to trudny cel dla brunatniejszych raperów, skoro deklamuje: „Nadal jestem dumny, że jestem Polakiem/ Choć ludzie to kurwy, to naród wspaniały”. Dodaje też rozsądnie, że „ma w chuju”, czy ktoś jest za PiS-em, czy PO, apelując: „bądź dobrym człowiekiem, ty pierdolony głupku”. I zaznacza, że „pierdoli w mordę posła i każdego osła, który nie chce pokoju w tym kraju”.

Ale wróćmy do elgiebetów. Bedoes krytykuje w „Romantycznej rewolucji”, że „robią strefy wolne od LGBT, podczas kiedy ten kraj upada i woła tylko o mi-

łość”. I odważnie – jak na polskie standardy – deklaruje: „Nienawidzę pedofili, policji i gwałcicieli, ty, jak nienawidzisz gejów, chyba masz za dużo czasu”. Dodaje też, że będzie „kochał swoich ludzi, nawet jeśli któryś nagle wyskoczy ze swojej szafy”.

Ostatni diss

Jak wiadomo z „Rejsu”, Polak lubi tylko te piosenki, które zna. Z tego względu nie mogę – mimo największych starań – jakoś szczególnie podniecać się dokonaniem obecnego polskiego rapu, także w – dość rzadkich skądinąd – odsłonach mniej lub bardziej politycznych.

Inowrocławski łobuz Cypis jebie PiS

Półtora miliona subskrybentów na YouTube, brak jakichkolwiek hamulców, wulgarne częstochowskie rymy, nazywanie samego siebie patologią – oto wizytówka jednego z najbardziej znanych polskich raperów, niejakiego Cypisa. Słynie on jednak nie tylko z piosenek o ćpaniu, chlaniu i ruchaniu (których nagrał dotychczas kilkadziesiąt – a nie powiedział jeszcze z pewnością ostatniego słowa!), ale i o zaangażowaniu politycznym. A może raczej antypolitycznym?

Gwoli ścisłości daleka jestem od gloryfikowania przemocy, homofobii i seksizmu inowrocławskiego rapera. Ale bądźmy obiektywni: jego zdecydowanie najsłynniejsza piosenka o narkotykach, „Biały węgorz”, nie tyle jest promocją wciągania koksu – co zdarza się wprost w innych kawałkach – lecz wołaniem o uwolnienie od nałogu, który niszczy życie podmiotu lirycznego, co sugerują choćby słowa: „ja pierdołę, same długie”, „wszystko, kurwa, z chaty sprzedam”, „tylko jedno w głowie mam/ koksu pięć gram”.

Jak jednak mawiał biblijny Abel: „Czyż jestem stróżem brata mego?”. Zajmijmy się zatem polityką w wykonaniu niegrzecznego chłopca polskiego rapu.

„Zero – kurwo jebana”

Najgłośniejszym kawałkiem politycznym Cypisa – z muzyką zaczerpniętą z hitu szwedzkiego DJ-a Erika Pryda „Call On Me” z 2004 r. – jest inspirowany wyrokiem Trybunału Julii Przyłębskiej i Strajkiem Kobiet „Jbć PiS”. Inowrocławski muzyk recytuje w nim, że „Miło to już było/ Ale teraz to trwa wojna” i wzywa wszystkich do wyjścia na ulicę: „Krzyżąc bardzo głośno dziś/ Wypierdalać z tego kraju/ Jebać PiS, jebać PiS”.

Podobno swój ciągnie do swego, więc Cypis jakiś czas temu nagrał kilka kawałków z dość kuriozalną – i nie tylko dla mnie mało sympatyczną – aktywną w social mediach postacią Zbigniewa Stonogi. Stonoga to biznesmen i skandalista, który czuje się prześladowany przez wymiar sprawiedliwości za czasów PO i PiS-u.

W kawałku na nutę dzieciaków z Arki Noego, śpiewających, że taki mały, taki duży, może świętym być, w „Arce Jarka” Cypis i Stonoga rapują m.in., że „przyszła już pora pozbyć się Kaczora”, a pisowców

Dorastałam w szalonych latach 90. i jako nastolatka jarałam się solowym projektem Kazika i niezapomnianym kieleckim Wzgórzem Ya-Pa-3. I właśnie na pierwszym albumie tego ostatniego usłyszałam frazę, która bardziej mnie inspirowała do dziś w mych rozważaniach naukowych z zakresu teorii polityki niż całe tomy nudnawych wypocin, czy to polskich, czy zagranicznych.

Wzgórze Ya-Pa-3 w numerze sprzed trzech dekad „Po prostu życie” nawija wprost: „Ci z góry to mafia, rządzą tym krajem/ Tak, aby wszyscy zarznęli się nawzajem”.

I po wyborach najbliższych może to być bardziej prawdą niż kiedykolwiek...

KATARZYNA KOENIG

widzą „w pierdlu, a nie na Bora-Bora”. Refren mówi sam za siebie:

„Taki duży, taki mały, może jebać PiS.
Hej, człowieku, w każdym wieku można jebać PiS.
Taki ja i taki ty może jebać PiS.
Wiek nieważny, moi drodzy, żeby jebać PiS”.

Pewną popularnością cieszył się też kawałek „Zero” (sami wiecie o kim). O głównym bohaterze dowiadujemy się, że jest „starym dywanem” (?) i „baranem”, który prześladowuje „niewinnych ludzi”. Dostaje się też pewnemu toruńskiemu duchownemu i całej formacji rządzącej:

„Czeka was piekło, smażenie w kotle
I przyleci do was Rydzyk na miotle.
Nie mam już sił, żadnych nadziei,
Gdy, kurwa, widzę tę bandę złodziei”.

„Bo nas MOPS utrzymuje”

Tak naprawdę ni chuja nie wiadomo, na ile Cypis naprawdę wierzy w to, co rapuje, a na ile rapuje o tym, co – jego zdaniem – się sprzedaje. Nie siedzę w jego głowie, nie wiem więc, czy i na ile jest cwany koniunkturalistą, a w jakim stopniu szczerze wierzy w swe teksty.

Średnio fajne bywają jego kawałki pokrewne Konfederacji czy może dokładniej zwykłemu warcholstwu (np. „Cała Polska śpiewa z nami/ Wypierdalać z maseczkami”). A jednym z głupszych – i paradoksalnie grających na pisowską nutę – jest (nagrany z Kęką) „500+”, kreujący obraz żyjących z socjału rodzin, zwłaszcza kobiet:

„Zapomoga i rodzinne przeliczają rączki
zwinne.
Do tego fajne dodatki dla samotnej matki.
Jak się bawić, to się bawić,
Po co nasieniem się dławic,
Jak se można zalać grote
I od państwa zgarnąć flotę”.

No ale czego można wymagać od inowrocławskiego typu, który – jak słyszymy w jednym z jego kawałków, nagranych razem z Letnim Chamskim Podrywem – jest „księciem wszelkiej patologii”...

K.K.

Kopanie po damsku

Piłka nożna w wykonaniu kobiet robi coraz większą karierę.

Finałowy mecz kobiecych mistrzostw świata w piłce nożnej, rozgrywanych w Australii i Nowej Zelandii, obejrzało w Anglii prawie tyłu widzów co transmisję z koronacji króla Karola III. W Sydney Hiszpanki pokonały 1:0 reprezentację Anglii i po raz pierwszy w historii zdobyły dla swojego kraju tytuł mistrzyń świata. Radość była niesamowita. Podczas dekoracji medalami prezydent Hiszpańskiego Związku Piłki Nożnej Luis Rubiales nieco się zapędził i pocałował zawodniczkę Jenni Hermoso w usta. Piłkarka napisała w mediach społecznościowych, że zachowanie działacza „ję się nie spodobało”. No i się zaczęło.

Pocałunek politycznie niepoprawny

Przeciw Rubialesowi wytoczono ciężkie działa. Było o maczyzmie, poniżaniu kobiet i wiele innych podobnych słów. Prasa wprost rzuciła się na niego i domagała ustąpienia ze stanowiska. W końcu zawodniczka wraz ze związkiem zawodowym piłkarek oraz swoją agencją menedżerską zaapelowała do FIFA o surowe ukaranie prezydenta związku, a najlepiej o zmuszenie go do złożenia dymisji.

Sam Rubiales początkowo uniżenie przeproszał, tłumaczył, że w chwili radości nieco się zapomniał, później jednak zhardział i zapowiedział, iż nie podda się modnej poprawnej politycznej nowomowie i nie zamierza podawać się do dymisji. O ile się orientuję (informacje są sprzeczne, mogą być też odwołania), FIFA zdecydowała o zawieszeniu Luisa Rubialesa w prawach działacza na 90 dni. Jakkolwiek się to skończy, jedno nie ulega wątpliwości: pocałunek na podium zwycięzczyń przyczynił się do zwiększenia popularności kobiecej piłki nożnej, i tak coraz większej. W sezonie ogórkowym prasa pisała o incydencie przez wiele dni, a telewizje (także nasze) wielokrotnie pokazywały moment, w którym działacz całuje w usta Jenni Hermoso. Sama piłkarka stała się bardziej rozpoznawalna od zdobywczyni zwycięskiej bramki Olgi Carmony.

Nie jestem historykiem sportu, ale na tyle długo się nim zajmuję, żeby wiedzieć, iż obecne duże zainteresowanie kobiecą piłką nożną nie jest czymś nowym, co objawiło się nie wiadomo skąd. Bywało, że zmagania pań z futbolówką w Anglii oglądało z trybun więcej ludzi, niż dziś kibicuje meczom męskiej Premier League.

Brutalne równouprawnienie

Kobiece futbol w swoich początkach wzbudzał podobne uczucia, jakie są udziałem wielu kibiców i komentatorów sportu obserwujących krwawe walki pań w oktagonie MMA. Jedni się tym ekscytują, inni oburzają. Ale dziś wszystko można podciągnąć pod hasło równouprawnienia kobiet i nikt, przynajmniej w kręgu kultury europejskiej i amerykańskiej, nie odważy się wprowadzić oficjalnego zakazu takich walk. Chcą się bić, niech się biją. Chcecie na to patrzeć – proszę bardzo. Nie chcecie, nie przychodźcie do sal, w których odbywają się takie walki, ani nie włączajcie telewizyjnych transmisji z tych wydarzeń. Jesteśmy wolnymi ludźmi.

Jeśli chodzi o mnie, to początkowo należałem do tej grupy, którą w jakimś sensie fascynowały kobiece pojedynki w oktagonie, zwłaszcza że panie – takie odnoszę wrażenie – są agresywniejsze i brutalniejsze od panów. Nie bez znaczenia był fakt, że w najważniejszej organizacji, czyli w UFC, sukcesy odnosiła nasza Joanna Jędrzejczyk. Później mi to przeszło. Wolę patrzeć na ładne damskie buzie, a nie na pokiereszowane ciosami rę-

kawic, łokci i kolan. W każdym razie nie przyszłoby mi do głowy zabraniać paniom walk, a już na pewno oburzyłbym się, gdyby publika wtargnęła do oktagonu i wypędziła stamtąd całe towarzystwo. A to w historii kobiecej piłki nożnej się zdarzało.

Inna sprawa, że kiedyś przypadkowo trafiłem na transmisję turnieju walk na gołe pięści w USA. MMA to przy tym dziecinna zabawa. W każdej rundzie zdarza się po kilka knockdownów, a sędzia nakazuje dalszą walkę. Już po paru minutach zawodnicy mało co widzą przez opuchnięte oczy. Gdy na ring wyszły panie, wyłączyłem telewizor. Być może dlatego, że mam już swoje lata i nie nadążam za nowoczesnością.

Sport zakazany

Wracam do kobiecej piłki nożnej, bo o niej ostatnio bardzo dużo się mówi. Pierwszy futbolowy klub dla płci pięknej założyła w Szkocji Helen Graham Matthews w 1881 r. i nazwała go swoim imieniem: Mrs Graham's XI. Nie przetrwał długo. Występy piłkarek ubranych w sukienki sięgające za kolana, getry i buty, zgodne z ówczesną modą, wzbudziły gorące protesty. Tak gwałtowne, że widzowie wbiegali na murawę, przerywali spotkania i kończyli widowiska.

Oceniając jakieś zjawiska z przeszłości, nigdy nie powinniśmy zapominać o duchu czasu. Wówczas nie tylko kobiece futbol znajdował się na cenzurowanym.

Uważano, że każda dyscyplina sportu jest szkodliwa dla zdrowia kobiet, ich stroje nieskromne, a miejsce pań znajduje się przy dzieciach, w kuchni, w każdym razie nie na boisku. Kościół katolicki papieską bullą (która chyba do dziś nie została unieważniona) zabraniał dziewczętom uczestniczenia w jakichkolwiek ćwiczeniach gimnastycznych.

Kobiece kluby piłkarskie w Anglii jednak raz po raz powstawały, po czym były prędko likwidowane. Największe chyba oburzenie spowodowały próby organizowania drużyn mieszaných lub meczów męskich jedenastek przeciw żeńskim. Trudno było sobie wyobrazić większe zgorzienie. Dziś zresztą także trudno to sobie wyobrazić ze względu na różnice w szybkości, wyszkoleniu technicznym profesjonalistów i drużyn, które od niedawna wychodzą z amatorstwa, a Polsce tkwią w nim nadal po uszy.

Piłkarze na wojnę, kobiety na boiska

Wszystko zmieniła I wojna światowa. Mężczyźni poszli walczyć, w fabrykach zastąpiły ich kobiety. W 1915 r. wszechwładna angielska federacja piłkarska FA zawiesiła męskie rozgrywki. Tymczasem pracujące w fabrykach dziewczęta zaczęły tworzyć zespoły. Wkrótce każde większe miasto miało swoją piłkarską drużynę, a niektóre po kilka. Na trybunach pojawiły się tysiące ludzi. Ilu kibiców oglądało spotkania, trudno



rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

dziś ocenić – różne źródła podają różne liczby, trzeba także pamiętać, że ówczesne trybuny wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiejsze, na których każdy widz ma swoje osobne krzesło. Ludzie oglądali mecze na stojąco, ubici jak pasażerowie w tójskim metrze. Można się spotkać z szcunkami mówiącymi nawet o ponad 100 tys. kibiców na szczególnie atrakcyjnych spotkaniach. Zapewne to liczba nieco przesadzona, ale jeśli napiszę, że w Anglii było więcej chętnych na obejrzenie piłkarskiego spektaklu w wykonaniu kobiet, niż dziś przychodzi na mecze naszej Ekstraklasy, zapewne się nie pomylę.

Jedno wiadomo na pewno. Żeński futbol zaczął przynosić ogromne zyski. Piłkarki nic z tego nie miały, musiała im wystarczyć pensja w fabryce, milionowe sumy trafiały na wspieranie wysiłku zbrojeniowego. Co ciekawe, same panie nie chciały partycypować w zyskach, jakie generowały ich mecze. Uważały, że grozi to komercjalizacji ich sportu, a – znów przywołajmy ducha czasu – bardzo długo za prawdziwy sport uznawano tylko sport amatorski. Międzynarodowy Komitet Olimpijski jeszcze dziś usiłuje zakłamywać rzeczywistość, zabrania reklam podczas trwania igrzysk, a finansowe nagradzanie uczestników zrzuca na rządy krajów, z których pochodzą.

Teraz przychodzi mi napisać o czymś obrzydliwym. Wojna się skończyła, mężczyźni wrócili do fabryk, a kobiety przegoniono z piłkarskich stadionów. I to dosłownie. W 1921 r. angielska federacja oficjalnie zabroniła kobietom grać w piłkę i rozwiązała wszystkie kluby, a było ich już kilkadziesiąt. Jako powód podano troskę o kobiety, bo futbol nadmiernie obciąża ich organizmy. Wszystkie stadiony w kraju zostały zamknięte przed kobiecymi meczami.

Pajor i inne

Zakaz trwał przez 50 lat. Oficjalnie został zniesiony dopiero w 1971 r. Trzeba było czekać kolejnych 47 lat, aby udzielono zgody na zawodowstwo w kobiecych angielskich klubach. Teraz niemal każdy wielki klub, taki jak Arsenal, Chelsea, West Ham, ma profesjonalny żeński zespół, który uczestniczy nie tylko w krajowych rozgrywkach, ale i w Lidze Mistrzyń rywalizuje z drużynami z innych europejskich krajów. FIFA przeprowadza mistrzostwa świata na podobnych zasadach jak wśród męskich reprezentacji.

Oczywiście pieniądze, jakimi obcrają męskie i żeńskie zespoły, są nieporównywalne. Najlepsze piłkarki w europejskich klubach mogą liczyć na 200–300 tys. euro za sezon. W Premier League ich kolezdy dostają tyle tygodniowo. Tych różnic nie tłumaczy się już (coś za zmiana!) troską o zdrowie kobiet, lecz różnicą w atrakcyjności spotkań, a co się z tym wiąże – wpływami z biletów, reklam i praw do transmisji telewizyjnych.

Polska kobiece piłka nożna jest w pewnym sensie podobna do męskiej. Mamy jedną gwiazdę światowego formatu – Ewę Pajor – a obok niej półamatorki, które bardzo się starają, ale nie mają szans z rywalkami trenującymi na zupełnie innych, profesjonalnych zasadach. Większość naszych zawodniczek trenuje za darmo, najlepsze piłkarki Ekstraklasy mogą liczyć na 3–5 tys. zł brutto.

Ewa Pajor gra w VfL Wolfsburg, jednej z najlepszych drużyn Europy, która dwukrotnie wygrała Ligę Mistrzyń UEFA, a trzykrotnie przegrała dopiero w finale, pięć razy zdobyła Puchar Niemiec, a trzy razy mistrzostwo kraju. O tym, jak cenią Polkę, może świad-

czyć fakt, że nie tak dawno przedłużyła z nią kontrakt do 2025 r. Nie wiadomo, dlaczego w kobiecej piłce kontrakty zawodniczek nie są jawne. Mówi się jednak, że do umowy z Ewą Pajor wpisano klauzulę odstępnego w wysokości 1 mln euro. Piłkarki, podobnie jak ich kolegów z boiska, sprzedaje się, kupuje i wypożycza, ale pieniądze są zupełnie inne. Trudno sobie wyobrazić, żeby jakiś klub kupił zawodniczkę za milion euro. Jest to więc kwota zaporowa, którą można porównać z miliardem euro w klauzuli odstępnego, wpisanej w kontrakcie Karima Benzemy w klubie Paris Saint-Germain.

Ewa Pajor gra na tej samej pozycji co Robert Lewandowski. Jej atutem jest nie tylko strzelanie goli, ale także włączanie się do tworzenia sytuacji bramkowych. Jest o osiem lat młodsza i 17 cm niższa od gwiazdora Bayernu Monachium, a dziś FC Barcelona (ale tylko o 3 cm niższa od Leo Messiego). Oczywiście jest najlepszą zawodniczką reprezentacji Polski, ale w tym sporcie jeden piłkarz czy jedna piłkarka nie decydują o wynikach całej drużyny, choć mogą mieć na nie spory wpływ.

Całusy od PiS-u

Wiele się ostatnio mówi (także za sprawą tego nieszczęsnego pocałunku) o zakończonych niedawno mistrzostwach świata. Polki w nich nie uczestniczyły. W grupie eliminacyjnej F zajęły trzecie miejsce i mistrzostwa mogły oglądać na ekranach telewizorów (co nie było proste ze względu na różnicę czasu). Polki nigdy jeszcze nie wystąpiły w tej imprezie, ale podczas eliminacji widać było sporo pozytywów. Nie tylko w grze.

Mecze eliminacyjne były transmitowane przez polską telewizję. Podczas spotkania z faworyzowaną reprezentacją Belgii (1:1) na trybunach padł rekord frekwencji na kobiecym meczu w naszym kraju: ponad 8 tys. widzów. Polki srogo rozprawiły się z niektórymi rywalkami. Z reprezentacją Armenii wygrały 12:0, a z zawodniczkami Kosowa 7:0. Drużyny narodowej nie prowadzi już, jak dawniej, mężczyzna – od dwóch lat ma młodą trenerkę, do niedawna zawodniczkę, Ninę Patalon, jedyną Polkę mogącą się wylegitymować licencją UEFA Pro.

Jednego się tylko obawiam:

gdyby PiS wygrał wybory, a polska kobieca piłka nadal szła w dobrym kierunku, za cztery lata dobrego występu w mistrzostwach świata gratulowałaby zawodniczkom partynajna śmietanka. Ry-szard Terlecki mógłby się przyssać do ust Ewy Pajor...

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena

Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał,

Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz,

Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wolk-Laniewska.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.

Za treści ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio

na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰, (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta

(koszt połączenia wg taryfy operatora):

• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803

• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,

3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,

L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,

www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 30.08.2023 r.**

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Prezes wszystkich prezesów czuł się jak bila, którąś ktoś toczy po stole. Ktoś z Niemiec...

– Gdzie? – zapytał, bo oprócz odczuwania bólu kolana nie dosłyszał. – Tam, gdzie Niemcy chcą mnie zarazić gorączką Pontiac?

Brudziński, który kierował pisowskim sztabem wyborczym, podniósł brwi.

– Gorączka Pontiac to objaw lekkiego przebiegu choroby legionistów – wyjaśnił Kaczyński.

– Nie podkarpackie, tylko świętokrzyskie.

– Brudziński właśnie udowodnił, że zna nazwy co najmniej dwóch polskich województw. – Tam Niemcy mogą cię najwyżej zarazić giertychozą.

– Czy w kieleckim czasem nie przegrał ten piosenkarz? Kukił czy jakoś tak...

Brudziński się roześmiał.

– Kukiz – sprostował. – Nie. Kukiz nie przegrał, tylko wygrał, i nie w kieleckim, tylko w opolskim. W kieleckim przegrał Marzec, czyli Liroy. Raper.

– Taka szpada?

– Nie rapier, tylko rapier. Facet, który melorecytuje wierszem.

Prezes wałnął się w głowę.

– To dlatego przegrał – rzekł. – Gdyby normalnie śpiewał, toby wygrał.

– Cała Polska z was się szczyrzy! Hip-hopowcy i raperzy! – zawołał Brudziński, bo lubił wołać.

– A o Giertychu tak zawołaasz? – zainteresował się Kaczyński.

– Cała Polska cieszy michy! Kołodziejczaki i Giertychy!

Prezes kiwnął głową z uznaniem. Jeśli chodzi o rymowanie, to Brudziński bił konkurencję na głowę.

– A swoją drogą ten Giertych może mi bruździć...

– Tobie?! W województwie świętokrzyskim? Tam wyborcy cię kochają! A Giertych? On tam jest o, taki mały! – Szef sztabu wyborczego pokazał prawą dłoń wzrost Romana Giertycha.

Jeszcze tylko przez chwilę Kaczyński zadumał się nad swoimi szansami wyborczymi.

– W podkarpackim też mnie kochają... – Uśmiechnął się.

– ...ale tam Niemcy chcą cię zarazić gorączką Cadillac – dokończył Brudziński.

– Pontiac – poprawił Kaczyński. – Gorączka Pontiac to objaw lekkiego przebiegu choroby gwardzistów.

Szef sztabu wyborczego chciał poprawić prezesa wszystkich prezesów, ale uznał, że nie warto. Zamiast tego zawołał:

– Cała Polska śmiechem czyści! Legioniści i gwardziści!

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

GOŚKA DANISZEWSKA ogląda telewizję i zbiera jej się na wymioty. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** nie jest taka wrażliwa.

Daniszevska: – Patrzę na prezesa...

Wołk-Łaniewska: – To nie patrz.

– Kiedy się nie da, jest na wszystkich kanałach.

– A skąd wiesz, oglądasz TVP Info?

– No niby nie...

– A tam tylko Tusk z Putinem.

– To może się przerzucę. Bo już naprawdę nie mogę. Te wąskie ramionka, źle skrojona marynarka, stoi biedactwo i snuje te swoje opowieści przed gawiedzią. Może choćby krawiec wstawił mu poduszki na ramiona. Im większe pomniki Lecha, tym mniejszy Jarosław. Panie Jarosławie, żalność wszelka!

– No bo nastrój u nich ponoć niespecjalny. Aż CBOS musiał terapię prowadzić, żeby się prezes nie załamał. W lipcu PiS miał 29, a PO 28, i zrobiła się afera, że aż musieli ściągać wyniki ze strony Centrum... A teraz proszę: PiS 37, Platforma 21 i jeszcze tylko Konfederacja wchodzi.

– Dobra zmiana.

– I jeszcze cebosom wyszło, że 80 proc. Polaków pójdzie głosować. Od Peerelu takiego wyniku nie było. Raz – jak Duda walczył z Trzaskowskim w drugiej turze w 2020 r. – to się frekwencja zbliżyła do 70 proc., ale w parlamentarnych ledwie dwa razy przekroczyła 60. A tu proszę, jacy wzorowi obywatele, gdy CBOS ich pyta...

– CBOS i tak był powściągliwy, bracia Karnowscy sobie zamówili sondaż, w którym PiS ma 40 proc. – Hojnie...

– I tak im to nie pomoże. Myślę sobie, że im bardziej pompują te sondaże, tym bardziej się boją. Opada im ta buta, którą prezes się karmi i karmił tego swojego durnego i niewykształconego suwerena.

– Suweren jest różny. „Ludzi jest rozmaite”, jak mówią w naszym ukochanym Białymstoku.

– To prawda, ale pisowski suweren ma pewien charakterystyczny typ myślenia. Pamiętam, że przed poprzednimi wyborami odbyłam z jednym jego typowym przedstawicielem rozmowę pod moim ulubionym sklepem Na Rogu. „A dlaczego pani mówi, żeby nie głosować na PiS?” – zagadnął mnie dżentelmen znad butelki z piwem. „Dlatego, że oni niszczą państwo prawa”. „A skąd pani to wie?” „Jestem z wykształcenia prawnikiem. Mój ojciec był wybitnym prawni-

kiem”. „No proszę! Tatusz prawnik, córeczka prawnik! Takie kliki trzeba właśnie rozbijać. I dlatego nie podoba się wam Kaczyński! On się za was wziął”... Na wszelki wypadek nie powiedziałam mu, że z Kaczyńskim kończyliśmy ten sam wydział prawa na Uniwersytecie Warszawskim.

– Ale on nie miał tatusia prawnika, więc do kliki nie należał...

– Jako żywo. W każdym razie nie wyniósł z domu prawniczej edukacji. Kaczyńska myśl prawnicza połączona z zapiekłością Zbignia Ziobry jest o kant dupy potłuc. Naprawdę mój ojciec Bronisław Daniszewski był wybitnym prawnikiem. Żadna komuna mu w myśleniu nie przeszkodziła.

– Bo komuna generalnie nie przeszkadzała w myśleniu. Jak patrzę na niektórych obywateli, to uważam, że tzw. wolność myśleniu nie sprzyja... Zmieniając temat...

– Jestem za. – Mogę o Gałczyńskim?

– A skąd ci się nagle Gałczyński urodził? – A bo mi się wierszyk przypomniał, kiedy spojrzałam za okno: „Lato się tak jak skazaniec kładzie pod jesienny topór krwawo bardzo”...

– Pogodny.

– Gałczyński był pogodny nawet w krwawych metaforach. Nawiasem mówiąc, czytam teraz książkę o Eilem...

– Przekrojowym?

– Tak. Nazywa się uroczo: „Marian Eile. Poczciwy cynik z »Przekroju«”, napisał to Mariusz Urbanek, a wydały Iskry i jest tam sporo o Gałczyńskim. Z radością odnotowuję, że był uroczym facetem.

– I jak to się niby przejawiało?

– W ogóle nie miał nasrane do głowy. Gałczyński drukował swoje wiersze w „Przekroju” w najgorszym możliwym czasie: nie dożył odwilży, zmarł w 1953 r. I za każdym razem, kiedy Eile prosił go o jakieś zmiany w tekście, przewidując, że w tej formie nie pójdzie, poeta wychodził z pokoju naczelnego, siadał przy pierwszym z brzegu wolnym biurku i poprawiał.

– Jako wydawca tygodnika potrafię to docenić...

– Eile też doceniał. „Chciał rzeczywiście pomóc” – wspominał. I odwzajemniał: „Przekrój” uchronił Gałczyńskiego na swoich łamach, kiedy nikt inny nie chciał go drukować, bo jego liryczność nie mieściła się w paradygmacie socrealizmu, a Adam Ważyk wzywał go, „by ukreślił łeb temu rozwydrzonemu kanarkowi, który zagnieździł się w jego wierszach”.

– Tak, Ważyk był zdecydowanie mniej uroczy.

– Niestety, to samo można powiedzieć o Broniewskim.

– Skąd wiesz?

– Bo czytam też biografię Broniewskiego. Też Urbanka, też z Iskier. Broniewski miał wszystkich za idiotów i o wszystkich źle się wyrażał.

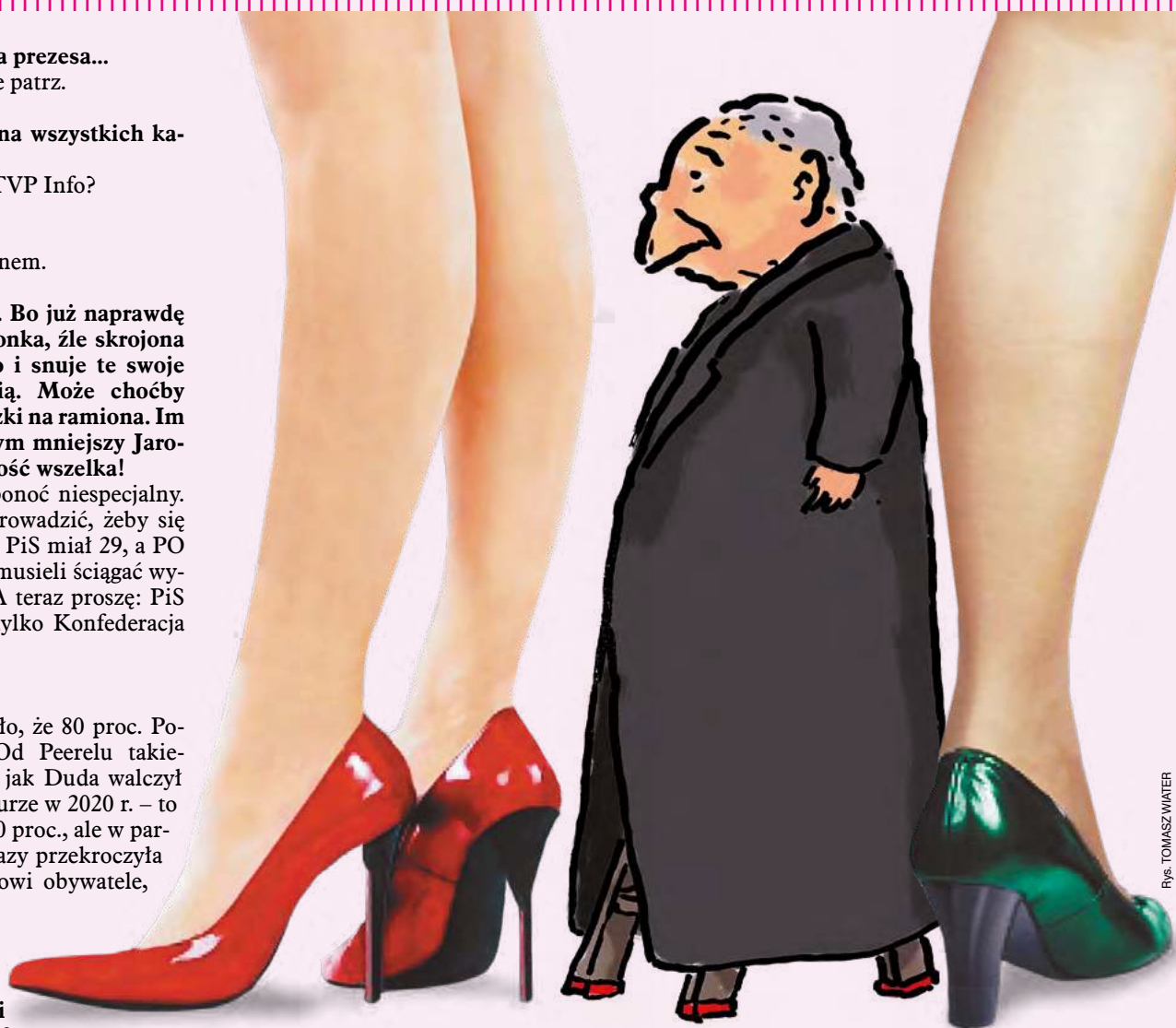
– Może zasłużyli?

– Pewnie tak, ale to jakoś tak źle świadczy o człowieku lewicy, że pogadzał całym światem.

– A zastanowiłaś się kiedyś nad sobą?

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Dialogi dam w drodze do kościoła



Rys. TOMASZ WATERS

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 263



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI